ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 4

1 września 1937 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
33 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka • — •

IGNACY FIK

DIALEKTYKA PRĄDU LITERACKIEGO

Jesteśmy w momencie przełomowym, kiedy pojawia się nowy prąd literacki, wyniesiony na fali odbywającego się przeobrażenia społecznego. Cóż się dzieje? Następuje starcie, próba przeciwstawienia nowych wartości starym, już nieaktualnym, będącym przeszkodą rozwijającemu się życiu. Prąd stary i nowy protestują wzajemnie przeciw sobie. Pierwiastki negacji uzyskują na chwilę przewagę nad elementami konstrukcyjnemi. Rozkładają się ustalone dawniej schematy form literackich i nałogi referowania problematyki. Panuje chaos i bunt. Autorami ich są obie strony. Nowi mają już dość autorytetów, uświęconych przepisów i schematów tematowo ideowych. Uznają, że stary ustrój dojrzał do upadku. Wystarczy zdobyć się na brutalne natarcie, a runie. Ale i starzy stoją w opozycji, a mianowicie opozycji do zbliżającej się nowej rzeczywistości, której nie pragną, której się boją, bo bije w ich egzystencje. Panuje nastrój niecierpliwości, popłochu, katastrofizmu.

Trzeba umieć rozróżnić te dwie kategorje buntowników. Opozycja przeciw istniejącemu stanowi rzeczy może wychodzić nietylko od wroga. Uprawia ją nieraz także i ten, któremu jak najbardziej zależy na utrzymaniu starego ładu. Dlatego widząc, że się coś w jego państwie psuje, wytyka błędy i stara się je usunąć. Robi to z dobrze zrozumianego interesu własnego. Gdy okręt tonie, trzeba zatykać dziury. Ale wcześniej musi się je ukazać. Najsroższi prorocy, jacy w tym okresie powstają, są to wyraziciele konserwatyzmu. Inną kategorję stanowią ludzie przezorni. Gdy okręt tonie, uciekają z niego szczury. Ale już dość wcześnie upatrują sobie miejsca, gdzie wylądować. Robią wielki popłoch i panikę i są najlepszą oznaką kruszenia się istniejącego porządku. Siły nowe przytakują tym katastrofantom. Niedługo jednak trwa z nimi przyjaźń. Nowa epoka przyniesie ze sobą pewne obowiązki. Ale tamte jednostki ustosunkują się opozycyjnie także wobec nich. Rozgrzeszywszy się z świadczeń na rzecz ginącego świata, nie chcą przyjąć zobowiązań wobec nowego ładu. Świat nowy jest dla nich zbyt brutalny, za mało elegancki. Luzaki stają się wiecznymi rewolucjonistami.

Literatura tego okresu ma charakter emocjonalny. Mówi się patetycznie, głośno, przesadnie. Ton jest bojowy, obelżywy, niesprawiedliwy. Brakuje na chwilę wspólnego języka. Lubi się krańcowość i wyrazistość. Racjonalizm jest w niełasce, gdyż nieużyteczne są już dawne racje. Niema czasu na dłuższą refleksję, na namysł i gromadzenie argumentów rozumowych. Wystarczy silny odruch, nagle rozbudzone wzruszenie, pierwszy instynkt, dyktujący reakcję krótką i gwałtowną. Zwłaszcza literaci rewolucyjni nie mogą być odrazu racjonalistami. Wszak niema jeszcze gotowych formuł, nie opanowano jeszcze praktycznie rzeczywistości, nie sprawdzono światopoglądu, nie ustalono norm obyczajowości.

Dalszą cechą tej fazy jest indywidualizm i subjektywizm. Walczą przecie awangardy. Niema jeszcze zdyscyplinowanych armij. Starzy nie mają jej dlatego, iż właśnie została rozbita, nowi jeszcze jej nie zorganizowali. Próbuje się metod indywidualnych. Czeka się i pragnie silnego wodza. Ma się kult dla oryginalnej inicjatywy, dla odwagi, nowego pomysłu.

Charakterystycznym momentem jest również rozbudzona ideowość. Dla wzmocnienia swych pozycyj korzysta się z wielkich haseł. Obie strony starają się przelicytować. Słowo C z ł o w i e k, jego sens, jego wolność — powiewa jak sztandar nad każdem poczynaniem. Szuka się go tam, gdzie go dawniej nie widziano.

Przypuśćmy, że tendencje nowe zwyciężyły. Następuje nagłe obniżenie temperatury. Formy stare zostały rozbite, istnieje zanarchizowana rzeczywistość. Trzeba zabrać się do jej uporządkowania. Literatura rejestruje i opisuje to, co jest. Gromadzi materjał, ukazuje go naszej świadomości. Ważny jest każdy fakt. Rodzą się tendencje naturalistyczne. Czytelnik nie żąda wiele od artysty, artysta nie jest mu jeszcze potrzebny. Świat jest na tyle ciekawy, że dość ma się emocji, gdy się go ogląda. Przyszły architekt życia chce zobaczyć najpierw materjał, który mu będzie służył do budowli. Postulatem literatury staje się reportaż. Reportaż kładzie dłoń na rzeczach na znak, że je człowiek bierze w posiadanie. Im większy jest zasięg, im prawdziwiej, precyzyjniej, wnikliwiej został zgromadzony materjał, tem trwalsza i większa zapowiada się na przyszłość budowa. Ale ten charakter reportażowy literatury niekoniecznie musi być wyrazem siły. Mogą nim operować pisarze, niedobitki poprzedniego okresu. Jest on dla nich ostatnią deską ratunku. Nie są zdolni do budowania życia, nie umieją już tego robić. Żywią się więc surową dawką egzotycznej dla nich rzeczywistości, albo chcą zostać balsamatorami rzeczy umarłych. Mumifikują epokę, która mija i ludzi, którzy wymierają. W chwili, w której tak mało pierwiastków absolutnych, a wszystko jest tak bardzo zrelatywizowane, ucieczką i oparciem jest dla nich przeszłość. Staje ona nagle w całym uroku zidealizowana i upiększona. Wierność kształtom dawnym rozgrzesza z niezdolności do czynu aktualnego. Odgrzebuje się wtedy skrupulatnie szczególik po szczególiku, pasożytuje się na swej młodości i dzieciństwie, pisze ogromne epopee, cykle i monografje.

Zbytnie przedłużanie się tego okresu wstępnego może być dla nowej literatury bardzo niebezpieczne. Materjale. Gromadzi się, gromadzi i — nagle zaciera I to z trzech powodów: 1) grozi ugrzęźnięcie w masie sens tego trudu. Opisuje się potem z nałogu. Już byle co. Analiza zaczyna nabierać charakteru pedanterji. Zapomina się o celu. Z samej pracowitości zbieracza robi się cnotę. 2) Przeszłość, pokonana i przezwyciężona na terenie walki społecznej, zostaje dopuszczona do literatury. Nie płoszy się jej, bo nie jest już realnie niebezpieczna. Pojawia się jako upiór, ale upiór uroczy. Postacią swą zaczyna uwodzić. I literatura gotowa wołać jak Faust: Nie odchodź, jesteś zbyt piękna! 3) Zdobywcy po bujnym okresie walk i tryumfów znachodzą się nagle w rzeczywistości, która mocą kontrastu wydaje się im mniej ciekawa. Im samym imponuje ich dawny okres bohaterski. Zwracają się więc do swej heroicznej przeszłości, pragnąc ją czyto zanotować na wieczną rzeczy pamiątkę, czyto szukać w niej uzasadnienia dla obecnego życia. Przywołuje się przyszłość, aby ją wygrać jako wartość w teraźniejszości. Wszystko to może hamować w dużym stopniu rozpęd organizacji nowej realności i wypaczyć dynamikę procesów socjalnych.

Stabilizujący się układ sił społecznych wysuwa jednak co krok problemy, domagające się rozwiązania. Ustala się również coraz wyraźniej oblicze kulturalne nowej klasy. Ustrój wypracowuje pewne określone formy. Kształtuje się typ człowieka. Upowszechniają się pewne formuły obyczajowe. Odbywa się praca, uporządkowana już i wyspecjalizowana. Literatura może się zdobyć na większą samodzielność. Dąży do autonomji, do wykreślenia właściwych sobie celów. Nie odrywa się od aktualnego prądu życia, ale nie jest też jego biernym ilustratorem. Zakłada własny warsztat, na którym wytwarza specjalne, charakterem literackim określone wartości społeczne. Wydziela dla siebie odrębne parcele obok różnych innych dziedzin społecznych i staje się dziełem równoległym do techniki, komunikacji, rozrywki. Daje się sporządzić pewien rejestr zagadnień, uporządkowanych hierarchicznie według ważności. Zaczyna się właściwy, konstrukcyjny okres budownictwa. Jakież cechy będą typowe dla tej fazy literatury?

Przedewszystkiem duży stopień uspołecznienia. Jednostka nie anarchizuje już form kolektywnych, przeciwnie, pragnie w nie wejść i ustosunkować się do nich w sposób trwały. Wchodzą w rachubę nie indywidualne perypetje i pretensje jednostek, chodzi o formy, normujące zbiorowe współżycie. Konieczność utrwalenia systemu panowania wymaga od jednostek podporządkowania się normom i nakazom całości. Wybujałości są widziane niechętnie, raczej lekceważone lub wprost zwalczane.

Dawne odruchy, nieopanowane emocje, działania instynktowne, typowe dla okresu przełomu, teraz nie maja sposobności do ukazywania się. Rzeczywistość jest mniej więcej uporządkowana, łatwo jest przewidzieć dzień następny. Niespodzianki nie prowokują do indywidualnych reakcji. Życie się racjonalizuje. Operuje się pewnemi, wypróbowanemi ujęciami rzeczywistości. Zostają one usankcjonowane i zaakceptowane, jako coś samo przez się rozumiejącego. Światopoglądy ustalają się i wyrównują. Panuje określona dominanta zwyczajów, potrzeb, sposobów ich zaspokajania. Propaganda tych oficjalnych rozwiązań odbywa się na drodze przekonywania, tłumaczenia, pozyskiwania, a więc na drodze pojęciowej. Wszystko to decyduje o racjonalizmie tego okresu.

Konieczność ustawicznego kontaktu z naturalną rzeczywistością zmusza literaturę do liczenia się z jej wymogami. Nieodzowny jest krytycyzm i realizm. Ceni się wnikliwość, zdolności organizacyjne i umiejętność syntetyzowania. Każda nowa synteza wymaga sprawdzenia w życiu. Tego kontaktu nie można jednak utożsamiać z dawnym naturalizmem. Naturalizm był bierny, fotografował. Realizm wybiera rzeczy przydatne, inne odrzuca. Ale nietylko wybiera, chce z nich budować. Realizm zakłada konieczność twórczej aktywności autora. Toteż dzieła literackie ocenia się teraz ze względu na ich konstrukcję, ideę przewodnią, tendencję.

Zasada konstrukcji wymaga jasności i przejrzystości. Chodzi o to, żeby przeprowadzić cel w sposób najekonomiczniejszy i najbardziej przekonywający. Między treścią a formą powinna panować harmonja. Powstają wtedy utwory, które chętnie nazywamy klasycznemi. Zostają przyjęte tylko te elementy, z okresu przejściowego, które zdały egzamin życia. Charakterystyczną cechą tego okresu jest również optymizm. Problemy są rozwiązalne, kuszą i zachęcają do ich podejmowania. Szczęśliwie przeprowadzone próby i życzliwie przyjęte — dają poczucie siły i zadowolenia. Otoczonym się jest przez gromadę ludzi o podobnych psychikach i celach. Znajduje się wśród nich wdzięcznych słuchaczy. Widzi się cel swej roboty. Niema miejsca na zasadnicze rozdwojenie lub bezradne osamotnienie.

Literatura ma oblicze wyraziste i jednolite. Jest dość silna, by nie musiała się liczyć z obcemi. Nie potrzebuje sprzymierzeńców i zachęty. Ma ambicje samowystarczalności. Zajęta własnemi, bieżącemi sprawami, niechętnie ogląda się na to, jak jest u obcych.

Mimo, że wyczerpią się już wszystkie siły twórcze klasy społecznej, ustrój przez nią wypracowany mocą rozpędu i organizacji zapewnia klasie jeszcze na długo możność panowania. Klasa pasożytuje na zdobyczach swej młodości, niepokojąc się co najwy-

JAN ŻUK

SŁONIMSKI NA WYSTAWIE

W nr. 32 (718) „Wiadomości Literackich" pojawił się artykuł A. Słonimskiego „Powilon polski — Niemcy, Rosja, Włochy i ognie sztuczne".

Artykuł ten nie może być obojętny dla żadnego Polaka, który był na wystawie paryskiej, a fakt, że napisał go „niezależny pisarz", w „niezależnem piśmie literackiem", potęguje jeszcze uczucie wstydu i oburzenia.

W parlamencie angielskim wniesiono niedawno interpelację. Jedna z posłanek pytała, dlaczego na wystawie paryskiej znalazła się niegustowna suknia, kompromitująca wytwórczość angielską. Minister tłumaczył się, bynajmniej nie bagatelizując faktu — rozumiał bowiem, że wystawa paryska, którą zwiedzają miljony ludzi, przedstawicieli wszystkich narodów świata, to niezmiernie doniosła propaganda, a propagandy nie wolno nigdy lekceważyć.

U nas jednak...

Jest coś głęboko upokarzającego w tem, jak rzadko zdobywamy się obecnie na uczciwą krytykę. Nie mamy dziś opozycji w sejmie, nie mamy żadnego pisma w Polsce, które mówiłoby prawdę, bez osłonek, bez naginania faktów do polityki tej czy innej partji, bez podlizywania się rządowi, antysemitom, komunistom, rasistom czy analfabetom. Doszło do tego, że nawet pisma literackie zaczynają nasiąkać fałszem.

„W pawilonie polskim — pisze Słonimski — jest coś z mauzoleum, coś z grobowca, niema tam rozmachu i bogactwa, ale niema fałszu". A dalej — „jest tu niejako symbolicznie zamknięta polska rzeczywistość".

Przeczytawszy te słowa, byłem zdumiony i oszołomiony. Czyżbym uległ jakiejś zbiorowej sugestji? I czyżby ta zbiorowa sugesja była wywołana (jak to insynuuje Słonimski) przez artystów, których pominięto przy urządzaniu pawilonu, obrażoną prasę oraz osobników, będących zwolennikami rzeczy, „od których oko zbieleje", nie umiejących ocenić „wysokiego poziomu pracy i poważnego stosunku artystycznego"?

*

Trzeba jeszcze raz pójść na wystawę, jeszcze raz obejrzeć pawilon polski i szukać, szukać nagwałt owego „wysokiego poziomu pracy i poważnego stosunku artystycznego".

Metro. Znów kolumna pokoju. Znów Aleja Narodów. Z obu stron sztandary państw, biorących udział w wystawie. Pośrodku-sadzawka i fontanny. Na samym końcu alei dwa gmachy: Z. S. R. R. i Niemiec. Powiewają naprzeciw siebie wrogie sobie czerwone sztandary. Jedna tylko chorągiew widoczna zdala ponad wszystkie inne: biało-czerwony sztandar. Pozatem nic więcej nie można dojrzeć, A bliżej? Wśród drzew przy pawilonie niemieckim mały korytarzyk w formie ulicznego pisuaru wiedzie przez mostek do pękniętej odgóry dodołu jednopiętrowej wieży. Jeśli można się pomylić przed wejściem do korytarzyka co do jego przeznaczenia — to w środku napis *Pologne* obwieści każdemu, że w tem oto miejscu 35 miljonowe państwo pokaże wszystko, co ma najlepszego i najpiękniejszego. A w wieży słowa marszałka Piłsudskiego, obraz Kubickiego, oraz 7 posągów: Chrobry, Jagiełło, Kopernik, Kościuszko, Mickiewicz, Chopin, Piłsudski. Z wieży przez mostek, nad którym rozpostarta jest skóra z wytłaczanemi herbami polskiemi, wiedzie nas ścieżka do drewnianej parterowej budy, otaczającej z dwóch stron restaurację polską, która mieści się na dziedzińcu. Przed wejściem do tego „właściwego" pawilonu stoi piękna rzeźba Zamoyskiego, a w środku pierwsze stoisko, przedstawiające wnętrze pokoju — projektu Barbary Brukalskiej. Meble są najbardziej nowoczesne, patrzeć na nie — pół biedy, ale usiąść — byłoby zbyt wielkiem poświęceniem. Na jednym z nich rozłożona jest baranica lub niedźwiedzica, bo u nas, panie dzieju, to tak w salonach barany i niedźwiedzie na każdym meblu. Drugie stoisko (Hryniewieckiego i Listowskiego) — z trzech stolik, przedstawiających wnętrze pokojów — jest bodaj najlepsze. Ale i ci architekci nie natrudzili się zbytnio. Trzecie — „week - end" — bije rekord (prof. Bogusławski i Danko). Człowiekowi odechciewa się week-end'ów i sof obramowanych cegłami i kominków dankowych; nie ma się zaufania do mebli Bogusławskiego. Szpetne stoisko, pokazane niewiadomo poco. Czyżby W. Jędrzejewicz i Niemojewski rozpisali konkurs na najtańsze i najbrzydsze umeblowanie pokojów?

Dalej — to już sama polska rzeczywistość: polski monopol tytoniowy, polski monopol spirytusowy, polskie towarzystwo podróży „Orbis". Widzimy „Loty", „Nile", puste flaszki po „Wyborowej", puste flaszki po „Luksusowej", potem stół, trzy krzesła, urzędniczyna — „Orbis". Na ścianie duże fotografje Łazienek, krzyża huculskiego, kolumny Zygmunta — to wszystko. Do całości — dla urozmaicenia i osłodzenia — czekolada Wedla. Za ladą, pełną drogich smakołyków, panienka, a tuż obok sam pan Wedel. Następnie — malutkie stoisko Milanówka i Bielska: za szybą kilka kokonów, kilka brzydkich sztuk jedwabiu i próbka materjału bielskiego. Wszystko w dawkach homeopatycznych. W samym rogu pawilonu znów jakowyś pokój — ani ładny, ani nowoczesny, ani estetyczny. Zboku mała półeczka, a na niej banalne laleczki w strojach ludowych; dwa rzeźbione, drewniane krzesła, stoisko z pamiątkami zakopiańskiemi (po 5 i 10 groszy w Zakopanem, nie pytałem po ile na wystawie). Dwie półeczki z sukienkami dla dzieci z lnu polskiego i 3 ładne lalki.

Prócz tego w pawilonie polskim można było znaleźć: piec z kafelków, piękne mapy Manteuffla i kilka bogato wydanych książek. To właściwie wszystko. Jeszcze mamy dwa aneksy. Na piętrze szafa, w której znajduje się kilka map gospodarczych, a na parterze trochę polskiej trawy i zardzewiały pług. Drugi aneks — to bar, gdzie po cenach przystępnych można otrzymać kieliszek wódki.

Zdaje się, że byłem drobiazgowo dokładny, że nie pominąłem niczego.

„Pawilon polski jest to raczej demonstracja artystyczna, ale niema w pawilonie polskim niemal ani jednego eksponatu, któryby stał poniżej poziomu wymagań prawdziwej sztuki".

Rzeźba Zamoyskiego, malowidło Kubickiego, mapa Manteuffla i Wajwóda, makata Szymańskiego — te stoją bezsprzecznie na poziomie, ale cała reszta z monopolem spirytusowym, z monopolem tytoniowym, z Orbisem, z pamiąteczkami z Zakopanego, z meblami, ze stoiskiem Milanówka i artykułem Słonimskiego stoi poniżej jakiegokolwiek poziomu. Tak niso, iż nie można się dziwić, że na tysiąc zwiedzających pawilon belgijski może jeden wytrwa do końca przy zwiedzaniu pawilonu polskiego.

Smutno przedstawia się rzeczywistość polska od pochyłego krzyża z różyczkami wokół, aż po butelkę czystej wyborowej. Brakuje jeszcze „ułana, policjanta i chama" dla dopełnienia obrazu całego naszego życia.

Trudno po zwiedzeniu pawilonu polskiego nie wpaść w melancholję, trudno nie rozłościć się po przeczytaniu artykułu Słonimskiego. Pawilon nasz na międzynarodowej wystawie w Paryżu można porównać jedynie do pawilonu księstwa Luxemburg, księstwa Monaco, pawilonu Łotwy, Litwy, Estonji i... nie, to są bezsprzecznie najgorsze pawilony. A potem zwiedzamy najpiękniejszy na wystawie pawilon belgijski, pawilon włoski, szwajcarski, francuski pawilon ceramiki...

Przepuściliśmy wspaniałą okazję, żeby pokazać światu, co robimy naprawdę pięknie i jakie posiadamy rzeczy, których się nie znajdzie nigdzieindziej. Nie wiem, jaką sumą dysponowali W. Jędrzejewicz i Niemojewski. Może tak śmiesznie małą, że za nią nie można było nic więcej pokazać. Dziwne tylko, że mamy na budowę pałaców (n. p. ministerstwa spraw zagranicznych), mamy zawsze kilka miljonów na przyjęcia królów, a nie mamy nigdy na rzeczy znacznie ważniejsze. Tembardziej dziwne się to wydaje, że po wielkiem i kosztownem przyjęciu króla rumuńskiego, po „wielkomocarstwowych" mowach min. Becka — „mocarstwo polskie" nie stać na więcej niż księstwo Luxemburg...

*

Garść uwag o nielicznych wybranych, którzy trafili do pawilonu polskiego.

Prowincja francuska niezbyt interesowała się eksponatami polskiemi. Rozsiadłszy się wokół krzyża, nad sadzawką, która okrąża nasz hall honorowy (czyli pękniętą wieżę) — wyciągali z torebek chleb, wino i sery i wśród śmiechów i żartów, wcale nie licujących z powagą miejsca, nie bacząc na zachęcające prospekty monopolu spirytusowego i słodyczy Wedla — spożywali swoje domowe specjały.

Inni przebiegali pawilon polski w milczeniu i szybko. Ha — praca odrobiona.

Trzecia grupa, zmylona wyglądem korytarzyka, wśród okrzyków: „Jakie piękne są pisuary na wystawie!" po ujrzeniu napisu POLOGNE, pośpiesznie się wycofywała.

Wreszcie najmniej liczna grupa ludzi, którzy się ani nie śpieszyli, ani nie szukali odpoczynku wśród drzew dawnego pałacu Trocadero. Wyrażali swój sąd głośno. Byli jednak całkiem innego zdania, niż pan Słonimski.

Przypomina mi się niemiecka propaganda antypolska. Na fotografji widać wnętrze kurnej chaty, na pierwszym planie owca, kilkoro brudnych dzieci, kury, a dalej przy palenisku postacie mężczyzny i kobiety w łachmanach; w całej chacie brud i nędza. Pod spodem napis: „Polnische Wirtschaft".

Czyż my sami nie uprawiamy propagandy antypolskiej?

*

Słuszne jest dowcipne zdanie gen. Wieniawy-Długoszowskiego o pawilonach sowieckim i hitlerowskim: „Źle jest, gdy Wandale burzą, ale czasem gorzej jest — gdy budują". Jeśli pawilon sowiecki z zewnątrz lekki i strzelisty, z piękną rzeźbą na

---

żej niebezpieczeństwem zakłócenia jej spokojnego bytowania w obrębie uregulowanych ram. Czemże się wtedy zajmuje literatura? Czasem poprostu nie ma czem i zamiera. Kiedyindziej, chcąc ratować siebie, odchodzi od życia. Stawia sobie problemy samodzielne, ważne tylko w obrębie jej samej. Czasem próbuje stworzyć inną rzeczywistość idealną, w której mogliby znaleźć schronienie ci, dla których samo życie nie przedstawia atrakcji. Literatura specjalizuje się w wynajdywaniu coraz wymyślniejszych narkotyków. Nie mogą za nią nadążyć szerokie masy, dlatego coraz bardziej staje się ona dostępna tylko niewielkiemu gronu wybranej elity. Z punktu widzenia społecznego możemy mówić o dekadentyzmie.

Zaczyna się ta faza z momentem, kiedy postulaty formalne zaczynają brać górę nad treściowemi. Równowaga zostaje załamana, zostały postawione już mniej więcej wszystkie problemy i rozwiązane. Zaczyna się uporczywie pojawiać jakiś modny temat, czy motyw, który prowokuje do coraz innych naświetleń. Robi się to wyłącznie dla przyjemności popisania się kunsztem i znajomością techniki artystycznej. Typowym przykładem może być w literaturze mieszczańskiej t. zw. „trójkąt małżeński", a w malarstwie martwa natura. Sposobnością do popisu mogą być również pomysłowe tricki kompozycyjne, wynalazki stylistyczne lub wreszcie pewne właściwości językowe. Styl przybiera charakter przesady barokowej lub rokokowej ozdobności. Lubuje się w obfitości omówień, w wyszukanej frazeologji, w wymownych i sugestywnych paradoksach. Ceni się piękne zdanie, świeżą metaforę — nie jako celowy środek wyrazu, lecz jak efektowną dekorację.

Niezwiązana w sposób widoczny z ogólną bazą społeczną, posiadając dużą autonomję w poszukiwaniu coraz to innych atrakcji, literatura tego okresu chętnie hołduje hasłom tolerancji i kosmopolityzmu. Czując się izolowana na terenie swego społeczeństwa, stara się wejść w kontakt z innemi literaturami. Pod względem formalnym wychodzi jej to przeważnie na korzyść. Toteż poziom jej artystyczny może być bardzo wysoki.

Ale i to czasem jej nie wystarcza. Odczuwając brak tematów i motywów, w pogoni za niemi zapuszcza się poza rejony rzeczywistości, a więc w sferę spirytyzmu, metafizyki, fantastyki, snu itp. Odkrywa nagle t. zw. świat ducha i irracjonalizmu, w którym czuje się niczem nieskrępowana. Dla rzeczywistości naturalnej ma z tego powodu pogardę, a sam twórca zaczyna się uważać za coś wyższego i pełniejszego. Staje się „nadczłowiekiem", który z bólem przebywa wśród zwykłych zjadaczy chleba. Odradza się nanowo indywidualizm, uważany za jedyny atut do zyskiwania sławy. Indywidualizm ten nie jest pojmowany, jako jeden z elementów służby społecznej, ale jeden z sposobów ucieczki od tej służby. Monistyczny charakter literatury zatraca się, dozwolony jest pluralizm, nie liczący się z zasadą sprzeczności. Odwracając się od świata zewnętrznego, pisarze mogą tem bardziej zwrócić się ku badaniu wnętrza ludzkiego. Zdarzają się wtedy wnikliwe analizy psychologiczne, rozkładające każde najdrobniejsze uczucie na składowe elementy i szukające dla nich najbardziej ekspresyjnego wyrazu. I znowu zadowalamy się niezależnym opisem. Próbuje się syntez, ale mają one charakter całkowicie idealistyczny. Idealizm ten wynika z braku odpowiedzialności za materjał faktyczny i zlekceważenia go, z tendencji do upraszczania i deformowania szczegółów, z obecności w dużym stopniu pierwiastka subjektywnego, z anektowania w obręb rzeczywistości literackiej świata złud i fikcji, z zamiłowania do abstrakcji i symbolizmu. Schematy syntez są też z tego powodu dowolne i papierowe, efektowne, lecz kruche. W tym to okresie rodzi się hasło: sztuka dla sztuki.

Powoli cykl przemian dobiega do końca. Wąż zaczyna gryźć własny ogon. Prąd literatury przebył swój dialektyczny rozwój. Dojrzał do zluzowania go przez następny, który podrastał równolegle obok. Ale jak długo trwa ustrój społeczny, który był jego podbudową, tak długo utrzymywał się będzie na powierzchni życia jako kwiat piękny i egzotyczny. Dopiero przemiana społeczna zapyta się o jego rację socjalną.

Ignacy Fik

PRZYPOMNIENIA

MYŚLI WYBRANE

Niepodległość Polski, dając proletarjatowi demokratyczny ustrój, usunie zarazem tamy i zapory, jakie zwykle rozwojowi cywilizacyjnemu podbitego narodu stawiają rządy zaborcze. Sprawa robotnika stanie się jasna i zrozumiała w najgłuchszych zakątkach kraju. Dwa będą tylko obozy: jeden polskich robotników, drugi polskich posiadaczy i jeżeli teraz szala zwycięstwa, pod naciskiem rosyjskich bagnetów i nahajek, waha się jeszcze — to wtedy bez obcego wpływu przechyli się ona stanowczo na stronę robotników.

*

Nasze klasy uprzywilejowane, jak zresztą to się dzieje na całym świecie, ideowo zbankrutowały i ugrzęzły w błocie sobkostwa i obrony „pozytywnych" (czytaj kieszeniowych) interesów. Przodownictwo w postępowym ruchu ludzkości stanowczo wypada w udziale klasie, dotychczas upośledzonej — klasie pracującej.

*

Hasło: „Proletarjusze wszystkich krajów łączcie się!", wypisane na czerwonym sztandarze, który odtąd staje się sztandarem postępu, obiega wszystkie zakątki świata cywilizowanego, jednoczy miljonową rzeszę pracujących w ogromną armję robotniczą, walczącą o zniesienie wszelkiego ucisku i wyzysku.

Najemnictwo odtąd dobiega już swego końca, a na horyzoncie coraz wyraźniej i jaśniej błyska jutrzenka z nieubłaganą koniecznością zbliżającego się jutra, które, będąc urzeczywistnieniem ideałów klasy robotniczej, tem samem zapewni szczęście ludzkości całej.

Równocześnie wśród różnych obozów posiadaczy milkną spory i dotychczasowi rzecznicy i obrońcy wolności wobec powstającej siły mas robotniczych podają dłonie swoim przeciwnikom dla wspólnej obrony uprzywilejowanego stanowiska wyzyskiwaczy.

*

Ustrój kapitalistyczny, oparty na wyzysku całej masy pracujących przez klasę, w swym ręku środki wytwarzania dzierżącą, z konieczności wywołuje walkę wyzyskiwanych z wyzyskiwaczami. Pracujący, jednocząc się w jedną olbrzymią armję proletarjatu, za hasło mają całkowite teraźniejszego ustroju przekształcenie, zamianę go na inny, socjalistyczny, gdzie wszelki wyzysk jednego człowieka przez drugiego będzie uniemożliwiony. Lecz podobne przekształcenie możliwe jest tylko wtedy, gdy u steru władzy stanie proletarjat, właśnie tę zmianę mający na celu.

*

Bojowe... hasło: Niech żyje rewolucja socjalna! — dalej wskazuje nam drogę, prowadzącą do całkowitego wyzwolenia klasy robotniczej. Tylko zapomocą siły położymy kres dzisiejszemu panowaniu wyzysku i, ująwszy w swe ręce ster władzy politycznej przez ustanowienie wspólnego władania środkami produkcji, urzeczywistnimy swój cel ostateczny — zupełną wolność i równość społeczną wszystkich ludzi.

*

Znieść wszelki ucisk i wyzysk to zadanie socjalizmu i hasło robotników wszystkich krajów.

*

Socjaliści — przeciwnie, wzywają lud pracujący Polski do walki nietylko z wrogiem zewnętrznym — Rosją carską, lecz także i z wrogiem wewnętrznym — wyzyskiwaczami ludu polskiego, wzywają do walki z uciskiem we wszelkich jego formach, z uciskiem, który przestanie istnieć jedynie w ustroju socjalistycznym. Organizowanie sił robotniczych dla wywalczenia tego ustroju jest nieustanną troską partji socjalistycznej.

*

Burżuazja — pani obecnego świata — w każdym kraju znajduje się w ustawicznej wojnie konkurencyjnej z burżuazją innych państw i narodów. Żeby istnieć i rozwijać się, musi mieć jak najobszerniejsze rynki zbytu dla owych towarów, musi wobec konkurentów sąsiadów odgradzać zawojowane rynki cłami, taryfami i przywilejami. Im państwo jest potężniejsze, silniejsze i obszerniejsze, tem większy rynek zbytu, tem łatwiej mu przychodzi stanąć w obronie swego przemysłu i handlu i narzucać innym krajom odpowiednie ulgi dla swych towarów. Stąd rozwój polityki kolonjalnej, stąd zamiana świata w obóz wojenny. Dalej, państwo tem jest silniejsze, im jest bardziej jednolite i spojone. W krajach więc zawojowanych panowanie sięga do duszy ludzkiej, chcąc przerobić na modłę zwycięzcy, ustanawia się przywileje dla przybyszów i sprzedawczyków, poddaje się prześladowaniu tych, co ulec nie chcą.

Przy ogniu szowinizmu burżuazja piecze i drugą pieczeń. Kapitalizm dzieli świat na wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy oraz wywołuje walkę pomiędzy nimi. Walka ta, obejmując coraz szersze koła ludu pracującego, zagraża coraz bardziej panowaniu burżuazji. Szowinizm narodowy, przeciwstawiając jeden naród drugiemu, łączy to, co się rozkleja pod wpływem walki klasowej, i wstrzymuje rozkład gnijącego społeczeństwa. Zwyczajem despotów burżuazja stara się zakryć brud wyzysku i ogrom nędzy ludowej zaszarganym łachmanem wielkości narodowej, łachmanem, do którego przyschły krew i łzy męczonych i ujarzmionych ludów.

*

Przypatrzmy się..., jaki jest patrjotyzm naszych klas posiadających i jaka jest ich obrona praw narodowych... Pojęcie ich o patrjotyzmie da się streścić w następujący sposób. Wobec ciężkich prześladowań i przemocy wroga, powiadają oni, naród powinien być zjednoczony i zespolony. Poszczególne warstwy narodu powinny zapomnieć, do czasu chociażby, o nieporozumieniach z innemi warstwami, by nie osłabiać sił narodu, tracąc je na walkę wewnętrzną. Przewodnikami narodu muszą pozostać ci, co dotąd w walce przewodniczyli, t. j. klasy uprzywilejowane, mają one bowiem potemu doświadczenie i wykształcenie odpowiednie, a dzięki stanowiskom i bogactwu mogą znaleźć posłuch u silnych tego świata. Lud zaś pracujący iść winien za przewodem „starszej braci", i ufać jej ślepo. Tak mniej więcej przemawiają wszyscy rzecznicy patrjotyzmu, nawołując do solidarności narodowej czyto polskiej, czyto litewskiej, czyto żydowskiej.

Przyjrzyjmy się jednak, jak wygląda ów patrjotyzm w życiu, w czem się wyraża owa solidarność narodowa, obowiązująca chyba przedewszystkiem tych, co co o niej głoszą. Nikt chyba nie wykaże faktu, że posiadacz ziemi, fabrykant lub majster ustąpił z własnej, nieprzymuszonej woli przy sporze ze swymi pracownikami - rodakami i w ten sposób złożył na ołtarzu głoszonej przez się idei ofiarę z części otrzymywanego zysku. Każdy zaś z nas wskazać może mnóstwo faktów wręcz przeciwnych... Dziwnie więc wygląda owa solidarność narodowa w czynach jej rzeczników i przewodników. Pełna jest obłudy i fałszu — gdy się modli przed figurą patrjotyczną, ma za skórą djabła wyzysku i brudnego geszeftu.

Niemniej wstrętnym wydać się musi patrjotyzm naszych posiadaczy, gdy się zwrócimy do jego czynów i jego stosunku do władzy najezdniczej. Niebotyczne tchórzostwo — oto jego cecha; podłe łaszenie się i lizanie stóp wroga — oto jego polityka... Oto więc polityka „czoła" narodów, oto droga, po której klasa posiadaczy kroczy i na której chce nam przewodzić! Tchórzliwi jak zające, obłudni jak lisy, czują, że ziemia drży pod ich stopami, że nowy duch się wdziera i podnosi lud, przez nich wyzyskiwany, z niewoli i upodlenia. Głoszona i wyznawana przez nich solidarność narodowa tumani tylko ludziom głowę, wstrzymując rozwój wypadków...

Jak widzimy, patrjotyzm burżuazji, czy jest zaborczy czy obronny, ma jedną wspólną cechę. Jest nią dążenie do przykrycia przeciwieństw klasowych płaszczykiem solidarności narodowej wobec innych narodów i chęć wstrzymania w ten sposób rozkładu obecnego ustroju, gdzie burżuazja jest panią położenia. Tam, gdzie może, jest ona zaborcza i brutalnie stawia nogą na zwyciężonym, gdzie zaś jest na dole, tam pokornie liże depczącą ją stopę. Stosunek więc nasz do tego rodzaju patrjotyzmu jest taki sam, jak do zaborczego. Znaleźć go i demaskować musimy, usuwając lud pracujący spod jego wpływu.

Jest jednak i zdrowe jądro w patrjotyzmie. Polega ono na naturalnem uczuciu miłości do swego kraju i jego kultury oraz na obronie praw narodu do samodzielnego życia, gdy to prawo jest gwałcone. Zdrowe to uczucie wywoływało nieraz szlachetne i szczytne czyny, przed któremi każdy człowiek myśli i uczucia skłonić głowę musi. Lecz, jeśli uczucie to jest głębokie, jeśli opiera się ono na odczuciu bólów i krzywd całego narodu, prowadzić musi niechybnie nietylko do szukania leków na rany, zadane ręką obcą, lecz i do naprawy stosunków wewnętrznych narodu, usunięcia niesprawiedliwości i brudów domowych. Ziemia nasza, która wydała Kościuszkę i Mickiewicza, widziała tych najlepszych patrjotów, walczących nietylko z najazdem, lecz i z niewolą ludu u własnych panów. W obecnych zaś warunkach ten najszlachetniejszy patrjotyzm prowadzić musi niegdzieindziej, jak do naszych szeregów pod czerwony sztandar socjalizmu.

*

Wreszcie rozmyślania i książki (tu, zniechęcony Spencerem, przeczytałem jeszcze raz Marxa) ugruntowały mię w socjalizmie. Zrozumiałem wówczas, że nie jest on tylko ideą szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego z chwilą, gdy kulturalny i społeczny rozwój umożliwia mu zrozumienie zasad tej idei.

A gdym się zastanawiał nad narodem, z którym mię wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przychodziłem do przekonania, że moje dziecinne marzenia i rojenia zespalają się z moim młodzieńczym światopoglądem. *Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce.*

Józef Piłsudski

(Myśli zostały wybrane z pierwszego i drugiego tomu „Pism zbiorowych" Józefa Piłsudskiego, Warszawa 1937, Instytut Józefa Piłsudskiego).

---

szczycie, zasługuje na pochwałę, to ciężki pawilon niemiecki z wstrętnemi rzeźbami i ciężkim orłem na szczycie na budzi żadnych uczuć estetycznych. Wewnątrz pawilonu sowieckiego taniuchne i brzydkie perkaliki, tandentny samochód, całkiem nienowoczesne modele wagonów i lokomotyw, wyjątkowo marne bohomazy na ścianach, próbki sowieckiej architektury (jakiś styl klasyczno-nowoczesny), mnóstwo cyfr statystycznych i dużo, zadużo cytat z pism Stalina, jego rzeźb, obrazów, fotografij (Stalin wśród dzieci, Stalin wśród owiec, Stalin w swoim gabinecie, Stalin na przechadzce i t. d.), a pośród tego potopu stalinizmu — dwie biedne, małe, zabłąkane rzeźby Lenina. Smutne wrażenie robi wnętrze pawilonu sowieckiego. Smutne i przykre. W samym środku pawilonu na stoliku leży gruba księga i tam przybysze z całego świata wpisują swe wrażenia. Przerzuciłem parę kartek — wszędzie to samo: „Najwspanialszemu pawilonowi i naszemu wodzowi Stalinowi śle pozdrowienia grupa komunistów z Tuluzy" — następują podpisy — dalej: „Stalinowi, który pokazał nam potęgę państwa robotniczego", a potem to już Stalin, Stalin, Stalin, najpiękniejszy pawilon, niezatarte wrażenia, — i tak we wszystkich językach świata.

I ta księga zrobiła na mnie smutniejsze wrażenie, niż to, że produkcja sowiecka nie stoi jeszcze na wysokim poziomie. Ale... — czy czasem niektóre artykuły naszej prasy nie przypominają tej księgi?

Jan Żuk

WŁADYSŁAW JAWORSKI

KONIEC SERENADY

Na tle obłoków domy postrzępione. Ich cień toczy się [po rumowiskach.
Mandoliniści odchodzą. Samotny, od znaków porfi- [rowych
Płonę i waham się. Za wzgórzami mroku dworzec [błyska
i o lampy zimnego miasta tłucze dym węglowy.

Twoje włosy śpiewałem: smugę bezpowrotnej ko- [mety!
Wiesz, w czas wieczornego błądzenia pocałunków nie [pragnąłem...
Znowu z okna spoglądasz, łaskawa cierpieniom poety,
zwolna za szybą się stając malowanym aniołem.

Ulicę jesień oschła wieńczy. Cóż jeszcze Ci powiem?
Rozgoryczają błękitne płomyki na kandelabrach,
chłód i te schody. Teraz serce ciąży we mnie ołowiem,
gdy zbliża się postać podobna temu, który Cię zabrał.

* * *

Józefowi Nachtowi

I

Przeciąga więdnień szelest. Wnet wstanie pożoga [latarń i w twój dom
zwrócony ku wątłym mrokom powieją jedwabne [brzozy.
Pozostaniesz. Może ocuci cię gwiazd ostatnich szron...
Obok twego zamyślenia za krawędzią chłodnego [przedmieścia
wiosła staw popychają złocony, a w altanach szarzeją [sąsiadom głosy.

II

W odległych szumach zabłysła nietrwała postać [wieszcza,
chód jego muska płowe trawy w nieznanym ogrodzie,
łagodną ręką pozdrawia kształty wieczornego po- [wietrza:
szkarłatne cienie rumaków i rydwany z głazu;
poczem przez furtkę ku budowlom na nieboskłonie [odchodzi.

III

I nie podążysz za nim, choć długo oczekiwałeś tego [czasu.
Z okien spóźnione melodje wracają na szosę się [tułać,
echa świateł zwiastują mgłami przybliżone miasto.
Nim usłyszysz jesiennych przestworzy dzwon, żela- [zną samotność,
krążąc osądzasz nostalgijny ten rok. Boleśnie mija [czułość.

SEWERYN SOSNOWSKI

PIEWCA NAROCZY

Maksim Tank, najwybitniejszy z poetów białoruskich, żyjących w Polsce, wydał ostatnio dwie nowe książki, poemat „Naracz" („Narocz") i tom liryk „Żurawinawy ćwiet" („Kwiat żurawiny"). Książki te swoją treścią, poziomem, aspiracjami, którym dają wyraz, wartościami, które wnoszą do skarbnicy poezji ogólnoludzkiej — słowem wszystkiem całkowicie potwierdzają konieczność poznania przez krytykę polską literatury białoruskiej.

„Naracz" jest utworem bliższym naszym pojęciom o poemacie, niż wszystkie powojenne publikacje polskie, które zwłaszcza ostatnio tak bardzo lubują się w podszywaniu pod tę szlachetną nazwę. Bez względu na to, czy fakt ten należy uznać za pomyślny, czy też traktować go jako dowód opóźnionego rozwoju literatury białoruskiej, trzeba stwierdzić, że rzadko można znaleźć nowoczesny utwór poetycki, w którym kompozycja większych całości byłaby przeprowadzona równie pięknie i oryginalnie. Możnaby mieć pewne zastrzeżenia co do ogólnego zharmonizowania stylowego; materjał opisowo-liryczny i akcja nowelowa — te dwa główne elementy struktury poematu — w danym wypadku niezawsze są należycie z sobą związane. Akcja poematu nie jest zresztą opracowana należycie, jej budowa przypomina kolekcję obrazów połączonych wspólnym objektem opisu (nadnaroczańska wieś białoruska), a nie związkiem przyczynowym. Jest to zatem raczej ujęcie reportażowe niż nowelowe. Tem niemniej na tle dzisiejszej polskiej praktyki poetyckiej poemat Tanka nawet pod tym względem jest zjawiskiem ciekawem, dojrzałem i pouczającem. Utwory współczesnych polskich poetów, tak chętnie zwane przez nich poematami, w porównaniu z „Naroczą" wydają się w najlepszym razie czemś fragmentarycznem, niedokończonem („Powrót na Powiśle"), najczęściej zaś robią wrażenie albo poezji wprawdzie dobrej, lecz zupełnie bezkształtnej, dalekiej od epickości („Przyjście wroga", „Tropiciel"), albo poprostu niedowarzonej prozy („Prowincja").

Takie zestawienie nie może być oczywiście podstawą sądu klasyfikacyjnego. Literatura polska i białoruska idą każda swoją drogą; to, co stosunkowo łatwo może osiągnąć jedna, inna może zdobyć tylko w najwyższym wysiłku; wysiłek ten w naszym wypadku jest zapewne mało celowy. Mowa o t. zw. „odrodzeniu epiki".

Mocną stroną poematu Tanka jest materjał opisowo-liryczny. Obrazy ziemi białoruskiej w „Naroczy" uderzają zarówno czysto poetyckiem pięknem, jak i liryczno-nastrojową tożsamością. Dar poetyckiego widzenia jest u Tanka naprawdę niezwykły. Kraj, którego symbolem jest sosna, brzoza i piach, nabiera u niego odcieni jakiejś czarodziejskiej krainy piękna. Stajemy zdumieni przed krajobrazami, które przecież doskonale znamy, które zgodnie z powszechnie używanym systemem miar i wag poetyckich uważaliśmy dotychczas za szare, ubogie i smutne, poznajemy je i nie możemy poznać, stajemy zdumieni ich wiernością i pięknem. Ile ukochania tej ziemi, ile talentu poetyckiego trzeba, aby stworzyć taki jej obraz, nie uciekając się do fałszu i fikcji. Ziemia Naroczy i Niemna od Mickiewicza nie miała piewcy równie wielkiego.

„Kwiat żurawiny" zawiera obok niektórych fragmentów „Naroczy" i drobnych utworów lirycznych parę niedużych poemacików z utworem tytułowym na czele. Jest to najlepsza partja zbiorku, górująca pod pewnemi względami nawet nad „Naroczą". I tutaj szczególnie pasjonujące są wszystkie miejsca opisowe, akcja zaś jest rozplanowana niedość ciekawie i starannie. Inne utwory tego tomiku naogół stoją na niższym (chociaż bynajmniej nie niskim, a nawet nie średnim) poziomie. Możnaby zarzucić im te czy inne niedociągnięcia, zrozumiałe i naturalne u tak młodego, niemal debjutującego poety, jakim jest Tank. Ale zarzuty te byłyby ściśle lokalne, podrzędne, rozszerzyć je na całą twórczość białoruskiego poety byłoby niezmiernie trudno.

Tylko jedno w tych książkach możnaby uogólnić: brak swobody w wypowiadaniu pasjonujących Tanka poetyckich problemów. Twórczość jego cechuje jakaś wymuszona kameralność, głos poety, który musiałby być otwarty, wyraźny i donośny, staje się sztucznie ściszony, ogólna intonacja jego poezji — to półszept, dominującemi figurami stylistycznemi są aluzja i alegorja, najczęstszym znakiem przestankowym jest... wielokropek. Szczególnie dużą rolę odegrał ten ostatni w „Naroczy", zastępuje on tam niemal jedną trzecią tekstu. Oczywista, wiemy wszyscy, że nie do Tanka należy kierować o to pretensje.

A może zresztą niewarto mieć o to ani żalu, ani pretensyj. Może lepiej jest, zgodnie z modną dziś w polityce zasadą „realizmu", zamiast żalu i skarg na istniejący stan rzeczy poprostu brać go tak, jak jest i beznamiętnie wyszukiwać wszystkie jego dodatnie strony. A stron tych mu nie brak, to pewne.

Przedewszystkie nielada to gratka dla przyszłych wpływologów. Ileż tematów w zakresie wiedzy o literaturze mimo pozornego podobieństwa do przysłowiowej kategorji „słoń a Polska", nabierze realnej i rzetelnej wartości naukowej. Parę przykładów już dziś możnaby zaryzykować. „Referent taki a taki — a rozwinięta metafora", „Wpływ wojewody X. na rozwój poezji białoruskiej w Wilnie czwartego dziesiątka XX wieku" i t. d. To dla potomnych. Ale dzisiejszy historyk literatury studjując n. p. w Wilnie twórczość białoruską, także może dostąpić przeżyć jedynych w swoim rodzaju. Może odbyć swoistą „podróż w czasie". Pisano już o podobieństwie dzisiejszego stanu literatury białoruskiej do niektórych dawno minionych stadjów literatur starszych, n. p. polskiej lub rosyjskiej. Podobieństwo to dalekie jest oczywiście od tożsamości; zamiast powtarzania poszczególnych stadjów rozwojowych mamy tu rozwój przyśpieszony, mamy kumulowanie poszczególnych okresów w jeden. Stąd podobieństwo jednocześnie do kilku epok, przedewszystkiem do epoki narodzin romantyzmu w Polsce i do okresu Aleksandra III w Rosji.

Pierwsze — jeśli chodzi o znaczenie poezji białoruskiej dla czytelnika. Oddźwięk, jaki ona znajduje śród głodujących, małopiśmiennych chłopów białoruskich, rola, jaką wobec nich spełnia — dopiero to może nas pouczyć, czem była poezja romantyczna dla ówczesnego szlachcica polskiego.

Ale analizując stronę formalną poezji białoruskiej, nie sposób się ustrzec przed wizją innej, nierównie bardziej ponurej epoki, kiedy to współautorem wszystkich piszących był cenzor, pierwszą instancją krytyczną — isprawnik, a ostatnią i najwyższą — gubernator, epoki, kiedy myśl twórcza musiała się kryć przed pościgiem delatorów i officjelów w gąszczu półsłówek i aluzyj, wielokropków, alegoryj i dwuznaczników.

Składnia i styl poprzedniego zdania niechaj nie zmylą czytelnika. Autor niniejszego artykułu bynajmniej nie zamierza pomniejszać czy negować znaczenie takich metod wychowawczych dla ludzkości. Nawet najtępsi gubernatorzy mają swoje złote karty w historji literatury światowej. Tylko ich zorganizowanej i planowej akcji zawdzięczamy pełny rozkwit genjuszu np. Sałtykowa — Szczedrina.

KATOLICYZM I SOCJALIZM

Przed kilku miesiącami w „Wiadomościach Literackich" (nr. 691) w artykule „Renesans katolicki a rozwój społeczny" pozwoliłem sobie oświetlić sprawę stosunku socjalizmu do katolicyzmu. Sprawa ta znalazła dość żywy oddźwięk w prasie katolickiej. Spośród kilkunastu głosów opinji krytycznej i głosów polemicznych znalazło się kilka tak poważnych, głęboko i rzeczowo ujętych, że wymagały równie poważnej reakcji z mojej strony. „Wiadomości Literackie" okazały jednak dla sprawy tej mało zainteresowania, co utrudniło mi doraźną i szybką polemikę.

Obecnie, po kilku miesiącach, korzystając z gościnnych łamów „Sygnałów", wracam do tej sprawy w przekonaniu, że nie straciła ona wcale na aktualności, przeciwnie, stała się bardziej paląca.

Zanim przystąpię do omówienia i repliki na artykuły Ksawerego Pruszyńskiego („Odnowa"), Karola Górskiego („Czas"), Jana Frankowskiego („Bunt Młodych"), St. W. („Wiara i życie") — chciałbym narazie stwierdzić, że sprawa stosunku katolicyzmu czy chrześcijaństwa wogóle do socjalizmu i komunizmu nie schodzi z porządku dziennego we Francji.

W ostatnich czasach ukazała się praca zbiorowa p. t. „Le communisme et les chrétiens", w której wypowiadają się przedstawiciele różnych kierunków myśli chrześcijańskiej, jak: François Mauriac, R. P. Ducattillon, N. Berdiaeff, Al. Marc, Denis de Rougemont, Daniel - Rops.

Z drugiej strony w wydaniu „Collection Commune" ukazał się zbiór prac na temat „Catholicisme et communisme" Roberta Honnert'a, który rozpoczął serję artykułów w tej sprawie na łamach „Europe". Sam Honnert, młody i praktykujący katolik, mający zarazem wiele sympatji i zrozumienia dla komunizmu, poszukuje możliwości teoretycznej współżycia i praktycznego współdziałania między katolicyzmem i komunizmem.

Punktem wyjścia dla Honnert'a stały się słynne obecnie we Francji słowa wodza komunizmu francuskiego Maurice'a Thoreza: „Nous te tendons la main, catholique, ouvrier, employé, artisan, paysan, nous qui sommes laiques, parce que tu es notre frère et que tu es, comme nous, accablé par les mêmes soucis". („Katoliku, czyś robotnik czy urzędnik, rzemieślnik czy rolnik, my ludzie świeccy wyciągamy do ciebie dłoń, ponieważ jesteś naszym bratem i ponieważ ciebie, jak nas, dręczą te same troski").

W książce Honnert'a znajduje się również kilka niezwykle ciekawych sprawozdań z dyskusyj publicznych, urządzanych w Paryżu w 1936 r., w których zabierali głos przedstawiciele zwalczających się kierunków myśli: katolicyzmu, socjalizmu i komunizmu.

Kurtuazja wzajemna zwalczających się stron świadczy najchlubniej o wysokim poziomie kultury narodu francuskiego, dla którego kwestje tych rozbieżności stają się nietylko wodą na młyn brukowej agitacji i oszczerczych insynuacyj, jak to się dzieje u nas, lecz mogą się stać również tematem uwznioślających obydwie strony subtelnych i wnikliwych rozważań, torujących drogę, jeśli nie porozumieniu, to chociaż — zrozumieniu, będącemu podstawą wzajemnego poszanowania.

Wskazujemy na ten przykład z życia współczesnej Francji, ażeby się zastrzec przed pewnemi postaciami najpopularniejszej u nas insynuacyjnej krytyki, która nie może sobie rościć pretensji do tego, by uznać ją za godną odpowiedzi.

Nie zaprzeczamy jednak bynajmniej, że i u nas możliwa jest wymiana poglądów między przedstawicielami rozbieżnych kierunków myśli, czego przykładem są nader kulturalne w formie i poważne w treści artykuły wymienionych powyżej krytyków obozu katolickiego, opinje i poglądy, na które pozwolimy sobie odpowiedzieć w następnym artykule.

Jan Nepomucen Miller

CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ

Różnie na świecie bywało...

Król francuski Filip Piękny, odpowiadając papieżowi-megalomanowi, Bonifacemu VIII, który pierwszy tiarze nadał formę korony i który był autorem sławetnej bulli „Unam sanctam", zakończonej słowami św. Tomasza, że posłuszeństwo papieżowi stanowi o zbawieniu człowieka — tytułuje go nie mniej i nie więcej tylko *głuptasem* („*Fatuitas Vestra*", t. j. „Głupota Wasza").

Ale dawno to już było; Wersalu też jeszcze nie było. Zresztą, nie pochwalamy takiego postępowania.

A oto znów z czasów po-wersalskich: Napoleon każe się papieżowi Piusowi VII koronować. M u s i a ł więc papież przyjechać do Paryża, aby dokonać koronacji, ale, gdy chciał włożyć koronę na głowę, Napoleon sam wziął ją z rąk papieskich i ukoronował siebie a potem małżonkę.

Rola Piusa VII właściwie spadła do roli... widza: kazano mu przyjechać i pozwolono... patrzeć.

Poprzednik jego, Pius VI, nie mniejszy miał respekt przed w s z e l k ą s i l n ą w ł a d z ą. Dzięki staraniom polskim, by imieniny króla Stanisława Augusta i ustawy konstytucyjne razem połączyć, przeniósł był święto św. Stanisława z 8 maja na dzień 3-go maja, ale caryca Katarzyna — jak pisze Niemcewicz — „pogroziwszy papieżowi gniewem swoim, p r z y m u s i ł a go, choć nieomylnego, że cofnął swą bullę i znów św. Stanisława na 8 maja powrócił".

„Następca Chrystusa" słucha więc rozkazów, wychodzących ze schyzmatyckiego i wrogiego państwa, wbrew woli pobożnego, katolickiego narodu polskiego.

To wszystko nam się nie podoba.

Ale podoba nam się, że sejm nasz na deklarację ministra Katarzyny, Bułhakowa, deklarację, stwierdzającą, że w dniu 3 maja „obalono całą budowę dawnego rządu, pod którym rzeczypospolita przez tyle wieków i z taką pomyślnością kwitnęła", oraz zawiadamiającą, że „najjaśniejsza monarchini dała rozkaz części wojsk swoich wnijścia na terytorjum Rzeczypospolitej" — odpowiedział odezwą do narodu z dnia 29 maja 1792 roku, podpisaną przez marszałków sejmu Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Sapiehę (tak!), a zakończoną temi słowy: „By bardziej upowszechnić deklarację niniejszą, rozkazujemy komisjom wojewódzkim wpisać ją w akta swoje i rozesłać po miastach; r o z k a z u j e m y nadto, żeby przez cztery niedziele czytaną była ze wszystkich a m b o n".

Tak: „rozkazujemy" i „ze wszystkich ambon"!

Potem trzeba było być biskupom polskim „poddanymi": car Mikołaj I, który zresztą podzielał z nimi zdanie, że kodeks Napoleona był „prawem djabelskiem" — mawiał do biskupów katolickich per „ty".

Było się też tym „poddanym", że aż było „hadko"...

Ale oto nastała Rzeczypospoita z art. 114 Konstytucji i co dawniej się nie udało dzięki carycy, teraz, chociaż naród o to nie zabiegał, ustanowiono w roku 1925 w Watykanie na dzień 3-go maja Święto Królowej Korony Polskiej, która przed swą „koronacją" polską musiała, dzięki przejściu Krzyżaków na ono kościoła ewangelickiego, zrezygnować z identycznej roli patronki Krzyżaków, owych odwiecznych wrogów narodu polskiego. Wogóle teraz można było „poddańczy" grzbiet wyprostować.

Tempora mutantur. Czasy się zmieniają: to na wozie, to pod wozem... Zresztą, nikomu nie życzę być pod wozem. Jest dość miejsca na wozie. Starczy dla wszystkich.

Wóz wszakże musi być dobrze zbudowany: art. 114 nie zapewnia bezpieczeństwa...

Henryk Ułaszyn

MICHAŁ CHMIELOWIEC

OBRONA POETY PEIPERA

Dlaczego piszę o poezji Peipera?

1) Dlatego, że Peiper jest pierwszy śród poetów Polski współczesnej;

2) dlatego, że jednogłośnie negatywny stosunek krytyki do poezji Peipera wykopał smutną przepaść pomiędzy poetą a czytelnikiem. Przepaść tę trzeba zmniejszyć, także przez przeanalizowanie skierowanych pod adresem Peipera - poety *zarzutów*, które mojem zdaniem, opierają się na nieporozumieniach.

Stereotypowy konflikt artysty z krytyką jest w naszym wypadku wyjątkowo ostry. Nie przebiera się w słowach:

— „Poematy Peipera? — mówi krytyk Sebyła w „Roczniku literackim“ 1935 — to swego rodzaju curiosum literackie nie posiada wartości poetyckiej. Może być nie tyle wzorem nowych form, ile przykładem degeneracji starych i znanych form dźwiękowości i obrazowania“.

— Nikt nie zna się na poezji, tak jak ja, — odpowiada z dumą poeta (w przedmowie do „Poematów“) — i z głębi tej wiedzy zapewniam was, że daję wam utwory, które należą do najlepszych, jakie stworzyła współczesność.

Kontrast tych dwóch sądów musi zastanowić.

Pierwsze nieporozumienia.

„Wartość krytycznej działalności Peipera, przerasta artystyczną“ — pisał w „Nowej literaturze w nowej Polsce“ Pomirowski. Jest więc przeciwnie. Trudno wskazać niedociągnięcia w poezji Peipera, podczas gdy łatwo wynotować liczne potknięcia w „Tędy“ — nie negując oczywiście rewelacyjności tej książki — zrodzone w tych chwilach, kiedy demagogiczny apostoł brał górę nad wnikliwym „teoretykiem“.

Twierdzenie Pomirowskiego (i nie tylko jego) obchodzi nas o tyle, że pozostaje ono w ścisłym związku z innem twierdzeniem tych, którzy mówili: Peiper pisze poezje, by ilustrować swoją teorję. Okrągłe to zdanie przyjęło rychło klującą formę zarzutu: *Peiper pisze poezje tylko dla ilustracji swoich tez teoretycznych.* Ocenianie utworów artystycznych z punktu widzenia przyczyny ich powstawania, to dość dziwna i zawodna metoda. Chodzi przecie o efekt, nie genezę. A jakie były pobudki tworzenia, może powiedzieć tylko autor. I mówi:

„...moja poezja nie rodziła się dla ilustrowania mojej teorji. Pierwszą moją wypowiedź o poezji („Nowe Usta“) dałem po opublikowaniu dwóch tomików, a przed temi tomikami miałem za sobą wiele lat poezjowania“.

I ci przeciwnicy poezji Peipera, którzy do jego idej odnosili się z życzliwem zainteresowaniem, i ci, którzy bez zastrzeżeń chcieli być grabarzami poety, bardzo pochopnie wytykali mu *niekonsekwencje, rozbieżności między „teorją a praktyką“*. Przeważnie jednak zarzuty ich są tak rozbrajająco naiwne, że można zmiażdżyć je wzruszeniem ramion.

Z trudem udało mi się wyłowić parę (dosłownie — dwie) poważniejszych myśli: Czuchnowski w „Robotniku“ w r. 1933 zamieścił cykl poważnych artykułów p. t. „Wgłąb awangardy“, gdzie skłaniając głowę przed artyzmem Peipera, przeciwstawia się jego światopoglądowi. Abstrahując od zarzutów ideowo-politycznych, przypatrzmy się przeprowadzonemu marginesowo procesowi o niekonsekwencje artystyczne. Akt oskarżenia zawiera dwa punkty: 1. W utworach Peipera jest dużo „waty“ metaforycznej, w utworach tego samego Peipera, który ciska gromy na „katarynairzy“, gwałcących zasady ekonomji wyrazu.

„Watą“ nazywa się jakiś człon utworu, który sam nie wnosząc nic, dopełnia lub przygotowuje (pisanie na pointę) zaczęte już lub zamierzone wartości artystyczne.

O wacie metaforycznej więc, wacie *sensu stricto*, nie może być mowy, bo każda metafora jest efektem artystycznym, sama przez się. Chodzi zapewne Czuchnowskiemu o *przerost metafory* (zarzut to b. częsty) kosztem innych wartości, mianowicie: klarowności konstrukcji i jasności idei. Zapamiętajmy: „przerost metafory“. Ten i drugi zarzut Czuchnowskiego: 2. *uprawianie publicystyki poetyckiej* — i wiele innych zarzutów — można zbić dopiero po bodaj najelementarniejszem poznaniu istoty metafory Peipera.

Istota przenośni Peipera.

Co przedewszystkiem uderza w poematach Peipera i co odstrasza niewspółczesnych, zabląkanych w XX wieku, to *wielka rozpiętość metafor* (w mniejszym stopniu cechująca wogóle poezję współczesną). „Okrucieństwo z cukru“, „Rozmawiająca igła“, „Węgiel tłumaczyć na złoto“, „Burmistrz marzeń niezamieszkanych“ — są to zestawienia pojęć bardzo odległych, zestawienia śmiałe i nowe.

Miejmy odwagę (nie miał jej n. p. Irzykowski, gdy przykładając freudowską teorję komizmu do metafory, cofnął się przed konsekwentnem twierdzeniem, że istotą poezji jest — nonsens; uznał takie twierdzenie za potwornie niesamowite), powiedzieć sobie, że te fantastyczne zestawienia, te zamachy na logikę, na formułkę $2 \times 2 = 4$, *decydują* o nieodpartym uroku poezji.

Rozkoszna swawola irracjonalnych skojarzeń, nieprawych związków, cudzołożnych słów, musi jednak opłacać haracz na rzecz rozsądku. Kultywując nonsens, musi go usprawiedliwić ukrytym sensem. Musi mówić nieprawdę i prawdę. Bo inaczej dojdziemy do purblagizmu, do słów w kapeluszu, do niepowtarzalnej oryginalności Schulza, do gorączkowych rojeń, których niesamowity zrazu blask rychło przygasa i staje się monotonją.

Ukrytym sensem, racją bytu metafory jest lapidarność, z jaką odsłania ona cały kompleks treści, i hiperboliczność, która treści te doprowadza do stanu wrzenia, dając im silny ładunek uczuciowy. Wzruszenie, wiara, niemal religijne przejęcie, z jakiem wymawiamy metaforę, uszlachetnia ten, formalnie biorąc, nonsens. Ekscentryczność asocjacyj legitymuje się ich zawartością merytoryczną i emocjonalną. Wtedy dopiero *stopień nowości, śmiałości, deformacyj staje się b. ważną, główną miarą talentu, sztuki, genjuszu, formy*, czy jak kto chce.

Oprócz rozpiętości przenośni, druga cecha poezji awangardowej zwraca uwagę, a także odstrasza.

U Peipera mianowicie — jak wiadomo — *metafora przestaje być* ozdobą *stylistyczną* (wdzięczną przyczepką, kwiatkiem u kożucha, rodzynkiem), lecz staje się najważniejszym składnikiem, budulcem wiersza. Rozrasta się, mnoży, wyłania z siebie coraz to nowe metafory. Śmiały i nowy to „chwyt“! Nowość i wynalazczość tego sposobu pisania, jak każda nowość, jest efektem estetycznym, ale dopiero wtedy efektem na dalszą metę, gdy znajdzie usprawiedliwienie swojej ekscentryczności w idei filozoficznej i artystycznej (zdaję sobie sprawę z nieścisłości, mgławicowości tych ogólnikowych terminów; sprecyzuje je nasz konkretny przykład). Obie te racje przemawiają za peiperowską „metaphoritis“.

I. Idea artystyczna: każda poszczególna metafora jest wartością artystyczną, akumulatorem piękna. Dlaczegoż nie możnaby zestawić tych akumulatorów w baterję, zwiększając temsamem napięcie? Żaden chyba środek ekspresji nie zawiera tak wielkiego ładunku emocji, co przenośnia. Ładunki te w poezji traktującej metaforę jako ozdobę są rozmieszczone gdzieniegdzie, *cały* więc utwór nie ma tego nasilenia uczuć, co poezja czysto metaforyczna. (Nie trzeba dodawać, że inne znowu wartości „starej poezji“ wynagradzają tę stratę. Choćby wielka siła dobrej pointy).

II. Idea „filozoficzna“: poeta nie nazywa, ale pseudonimuje. Poeta nie wynurza się, nie nazywa uczuć po imieniu, szuka ekwiwalentów uczuciowych. Znajduje je w metaforze. Pseudonimowanie, metaforyzowanie przeżyć, płynie z chęci ich ukrycia, z głębokiej wstydliwości. Jest protestem przeciw nudyzmowi uczuć. Budzi nasze zaufanie. Łzy krokodyle, hałaśliwy śmiech rzadko są szczere. Nie sztuka jest wrzeszczeć. Sztuka jest krzyczeć przez zaciśnięte zęby.

Oczywiście, jeśli ekwiwalentyzacja wzruszeń ma być konsekwentna, *cały* utwór musi ukrywać pod zastygłą lawą niezliczonych metafor ogień uczucia — że się tak po staroświecku wyrażę.

Wracamy do zarzutów.

Przewodnikiem po manowcach antyawangardowej krytyki niech będzie drukowany w kwietniowym „Skamandrze“ z 1935 r. artykuł Zawodzińskiego: „Pegaz to nie samochód bezkołowy“. Ta wnikliwa, głęboka, a przytem jakże sympatyczna w swej bezkompromisowości, zniewalająca werwą i animuszem rozprawka, to doprawy rzadkość na tle bezhołowia naszej krytyki poezji. Dla mnie ma ona tę jeszcze wagę, że skupia bodajże wszystkie poważniejsze zarzuty, wysuwane przeciw awangardzie, temsamem prawie zawsze przeciw „znakomitemu szefowi szkoły“, jak z wyrafinowaną ironją nazywa Peipera Zawodziński.

„Poezję“ awangardy porównywa Zawodziński między innemi do rozbitego na drobne cząsteczki zwierciadła, w którem nie można się przyjrzeć. Czy nie on sam roztrzaskał zwierciadło? Bojąc się własnego w niem odbicia?

Zbierzmy i złóżmy „disiecta membra“, a bezkołowy samochód przegoni zadzierżystego kawalerzystę.

I

Zawodziński dokonał nielada sztuki. Na pięciu kartkach dał głęboki, a przytem jasny opis liryki. Jej atrybutami są 3 elementy: element muzyczny (rytmiczny), element logiczny (znaczeniowy, treściowy), element plastyczny (obrazowy).

Zawodziński przymierza lirykę awangardową do poprzednio ustalonego pojęcia liryki: „Odrazu rzuca się w oczy, że jeden z jej tradycyjnych żywiołów jest napozór ceniony, nawet kultywowany z wyłącznym fanatyzmem: jest to żywioł obrazowości, stylistycznie wyrażający się w metaforyzmie“. Czyli: *przerost metafory.*

Jest. Ce-lo-wo. Tłumaczy się. I artystycznie i filozoficznie. Ile razy trzeba jeszcze mówić, że naładowana, nie przetykana, metaforami mowa daje zupełnie odrealniony obraz rzeczywistości, mało: tworzy nową rzeczywistość, świat fikcji — jak się to dawniej mówiło. Że odległe, ciągle zmienne, przesuwające się w nieustannym ruchu zestawienia dają nowe radości wyobraźni.

Że w każdej niemal metaforze jest tętno emocji. Że tętno to może słabsze niż w poezji pointystycznej, ale trwalsze, uderzające w całym utworze. Że dalej, przerost metafory jest wyrazem głębokiej idei wstydliwości uczuć, pseudonimowania wzruszeń, niepodrabianej szczerości.

Mówi Zawodziński, że *wynalazków na polu metafory awangarda nie pokazała wiele*. Nie zgadzam się i proszę Zawodzińskiego o wskazanie kierunku literackiego, który więcej zrobił na tym terenie; ale nawet gdyby...

Metafora jest chyba rówieśnicą języka. Był już więc czas na zrobienie wynalazków. Toteż nie trudno złośliwemu szperaczowi pokazać palcem metody u Homera takie samiutkie, jak u Jalu Kurka. Wynalazek wszakże polega na czem innem: właśnie na zagęszczeniu metafor o wielkiej rozpiętości.

Wszystko to pięknie — powiada krytyk — ale wasze metafory nie obrazują. *Brak w liryce awangardowej ich sharmonizowania*, jedności czy to logicznej, czy to nastrojowej. Te metafory — powiada — są luźne, są pyłem lustrzanym, w którym niepodobna się przejrzeć.

Może odnosi się to do poezji niektórych awangardzistów, a zwłaszcza ich epigonów, ale do poezji Peipera napewno nie.

Nie wszystkie poematy Peipera, lecz większość ich bezwątpienia, wykazuje właśnie bardzo wyraźne scałkowanie, sharmonizowanie żywiołu metaforycznego. Nie sposób tu pokazać, jak to wygląda wszędzie, wybieram więc, jeden poemat jako przykład, choćby „Z Górnego Śląska“. Wszystko, co się o nim powie, odnosi się także do innych.

Kolumnada kominów, galerje z żelaza,
dach z chmur, które parują ze spoconej skóry,
Ognia kazanie, siły zaraza,
z mięśni mury.

Wystarczą nam nawet cztery wiersze. Bezsprzecznie bujny w nich żywioł metaforyczny jednoczy to, co w szkole nazywaliśmy ideą utworu. Cóż jest ideą poematu? Ideą jest wskazanie piękna nowoczesnego okręgu przemysłowego i wzniosłości pracy, dumne poczucie siły człowieka twórczego. Chcę pokazać, jak każda metafora, każdy obraz służy tej idei, temu „nastrojowi czy wybuchowi lirycznemu“. Mimo, że to jest oczywiste, mimo, że tego nie trzeba zobaczyć, bo to się widzi.

„Kolumnada kominów“. Czysto zewnętrzną racją zestawienia jest podobieństwo kolumnady do komina fabrycznego, kolumnady zaś do rzędu kominów. Głębszą racją jest to, że tkwiące w słowie „kolumnada“ pojęcia: a) piękna (kolumnada jest dziełem sztuki), b) monumentalności, pewnej podniosłości, c) ładu — zarażają niejako sąsiednie słowo i cały obraz przestaje być obojętny uczuciowo. „Galerje z żelaza“ — to samo.

„Dach z chmur, które parują ze spoconej skóry“. Obraz dymu. Dym jest atrybutem pracy fabryk, jest ściśle związany z działalnością rąk ludzkich. Dym kształtuje krajobraz, czyli ręka człowieka kształtuje krajobraz, który staje się zwierciadłem siły ludzkiej.

„Ognia kazanie“ — znany już pierwiastek podniosłości i wychowawcza, uszlachetniająca wartość pracy.

„Siły zaraza“, „z mięśni mury“ — żywiołowa siła („zaraza“) i ogrom („mury“) pracy.

Rzecz prosta, że jeden przykładzik nie obala twierdzenia Zawodzińskiego. Ale on na poparcie swojego uogólnienia nie daje żadnego przykładu. Upojony taniem zwycięstwem nad skarykaturowa-

nym przeciwnikiem, udaje, że nie słyszy pytań szczegółowych. Powściągliwie milczy. Ostrożnie trzyma języka za zębami... Uprasza się nie pluć przez zęby!

II

Zbliżyliśmy się za przewodem Zawodzińskiego do żywiołu logicznego liryki awangardowej. „Przeczytanie pierwszego z brzegu przykładu przekonywa nas o żałosnym tego żywiołu uciemiężeniu. W najlepszym razie naiwna komplikacja myśli, wyrażonej eliptycznie. żałosne uciemiężenie wyraża się w błahości komplikowanej, aż do nieporozumialstwa, treści".

Sprawa błahości, banalności elementu merytorycznego. O ile chodzi o poezję Peipera, zarzut ten przybrał takie formy: Irzykowski zarzuca nadmiar poematów opisowych, inni uprawianie banalnej dydaktyki poetyckiej.

Potrosze mają słuszność!

Ale nawet gdyby mieli zupełną słuszność, gdyby tematyka poezji Peipera była uboga i stara, to jednak... To jednak analogicznie do prawa Gaultiera o sugestywności starych metrów istnieje niepisane prawo o sugestywności starych tematów, analogicznie do „prawa" o wymowie prostych rytmicznie strofek (realizowanego doskonale przez Or-Ota, Kasprowicza, Tuwima) — „prawo" o efektowności prostej treści (przykładem „Zazdrość i medycyna", gdzie pospolitość konfliktu podkreśla jeszcze jego demoniczną grozę).

Co podkreśla prostota peiperowskiej tematyki? To takie oczywiste: podkreśla metaforyczną formę, będącą wyrazem niesłychanie intensywnej emocjonalnie postawy poety. Żaden społeczny, publicystyczny problem, żaden przedmiot, żaden krajobraz nie jest dla niego obojętny. Poematy opisowe? Tak, ale nie katalogi cech, tylko opis i silne wzruszenie, koncentrujące się na przedmiocie, na zagadnieniu, zabarwiające je.

Sprawa niezrozumialstwa. Sprawa bodajże najgłośniejsza. Każdy nowy kierunek w sztuce jest zrazu w mniejszym lub większym stopniu niezrozumiały, bo nie daje się włoczyć w stare ramy recepcji. Poddany dopiero próbie czasu, albo zostaje niezrozumiały i wtedy okazuje się nieporozumieniem, przelicytowaniem w oryginalności, albo wyjaśnia się stopniowo zupełnie.

Znacie słowa Koźmiana o „Sonetach krymskich"? No, to posłuchajcie:

„Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy, Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych, który naprzekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje".

Dla nas ten sąd jest zupełnie niezrozumiały, nie pojmujemy, jak taki rozumny człowiek, jak Koźmian, mógł nie rozumieć tak bez reszty dziś zrozumiałych „Sonetów krymskich".

Poezja Peipera jest w tem stadjum, że nie będąc jeszcze *zupełnie* zrozumiała dla t. zw. kulturalnego czytelnika i speców, w oczach zyskuje na jasności. Proszę przeczytać recenzje sprzed lat dziesięciu i porównać ze słowami Czachowskiego w „Czasie" sprzed dwóch lat:

„Trzeba również stwierdzić, że poematy Peipera są dla dzisiejszego czytelnika, oczywiście kulturalnie wyrobionego, o wiele dostępniejsze, niż było to wtedy, gdy się zaczęły pojawiać. Zwłaszcza lata ostatnie, w których poezja awangardowa tak szeroko się rozpowszechniła, nauczyły nas lepiej rozumieć także jej właściwego twórcę".

Spór o niezrozumialstwo nie jest jeszcze ukończony. Rozstrzygną go najbliższe lata. Wnioskujmy z takich symptomów, jak przytoczone słowa Czachowskiego, wnioskujmy ze wzrostu wpływów awangardy.

III

„Najgorzej — pisze Zawodziński — *przedstawia się w „nowej liryce" los żywiołu muzycznego"*. Szkielet zarzutu Zawodzińskiego (i innych) tak wygląda: awangarda odrzuciła metrum, regularne następstwo jednostek rytmicznych, przez co stłamsiła element muzyczny, niezbędny w liryce. Poezja awangardy przestaje być mową wiązaną. Wiązanie obrazów bowiem drogą: 1) indywidualnych rytmów, 2) odległych rymów peiperowskich, 3) asonansów peiperowskich typu: wydłużała — wyżła i typu: Gdyni — nigdy i znanych asonansów samogłoskowych, 4) współbrzmień wewnętrznych, licznych aliteracji — jest iluzją; tych współbrzmień, pokrewieństw i zależności my nie słyszymy, *nie czujemy;* to jest melodja dla wtajemniczonych.

Tu już nie mogę się oprzeć pokusie i przytaczam słowa Peipera: „Analfabeta uważa alfabet za wielde dla wtajemniczonych, lecz czy stąd wynika, że alfabet jest arystokratyczną zachcianką?".

Postawmy sprawę jasno: wersyfikacja awangardowa opiera się nie na metryce i strofice sylabotonizmu, będącej podstawą t. zw. starej poezji, lecz na innych zasadach, dotąd wogóle niestosowanych lub stosowanych tylko sporadycznie. Dlaczego odrzuca podstawy starej wersyfikacji? Argumenty Peipera, że stare metrum nie odpowiada Świętemu i Tajemniczemu Duchowi Współczesności, nie przemawiają mi do przekonania, są naciągane i zalatują podejrzaną mistyką analogji, tem mniej jednak przekonywają mnie „adwokaci kataryniarzy" — jakby rzekł Przyboś, upierający się przy symetrji sylab i strofce. Bo dlaczego jednej wersyfikacji nie można zastąpić inną, skoro ta inna spełnia to samo zadanie, zadanie rytmu wogóle, jako irracjonalnego i ścisłego ładu? Wymieniając dwie choćby tylko równowartościowe rzeczy (czy równowartościowe? — tu otwiera się pole do dyskusji) zyskujemy tyle, że rzecz nowa ma mocny, nieodparty urok świeżości.

Jeśli chodzi o iluzoryczność odległych współbrzmień i indywidualnych rytmów, to rozszerzając cytowany wyżej aforyzm Peipera, trzeba powtórzyć tosamo, co powiedzieliśmy przy sprawie niezrozumialstwa. Że nowe formy rytmiczne zdają się nie istnieć dla ucha tych, którzy nie mogą ich włoczyć w ramy nawykowej recepcji. Że zrazu niesłyszalne, później zaledwie brzęczące dźwięki, rosną w nową, subtelną melodję. Pan jej jeszcze nie słyszy, ale to wcale nie uprawnia pana do zatykania uszu sobie i, co ważniejsza, innym!

Michał Chmielowiec

TADEUSZ BANAŚ

PRZEDZIWNA OPOWIEŚĆ

Sergjusz Piasecki: Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Warszawa, „Rój", 1937; str. 410 i 6 nl.

Przez czterdzieści kilka dni za ponuremi murami najcięższego w Polsce więzienia na Świętym Krzyżu rodziła się ta dziwna książka. Wśród najcięższych chyba warunków życiowych spływały na papier wspomnienia człowieka, który życie swe przełamał w dwie wielkie połowy nie jedną godziną myśli, ale latami beznadziejnego życia, spiętego surowemi pętami regulaminów więziennych. 29 listopada 1935 r. Sergjusz Piasecki skończył swego „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", swój romantyczny żywot przestępcy. Potem półtora roku ciszy, pracy bez słów zachęty i rady, wreszcie wydanie książki, rozgłos, sława, wolność. Wstęp Melchjora Wańkowicza, umieszczony na czele „Kochanka", orjentuje czytelnika w życiu i losie autora, przytacza tenor wyroków sądowych, wspomina o corocznych, daremnych pukaniach z trumny — prośbach o ułaskawienie, informuje o pracy pisarskiej więźnia i jej warunkach. Duchową sylwetkę autora realizuje jego własny strzęp biografji, jakim jest „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy".

„Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" to pasjonująca książka. Nie dlatego bynajmniej, że pisał ją „fachowiec", opieczętowany piętnastoletniem więzieniem, ale dlatego, że ma w sobie niespotykany od lat w literaturze naszej ładunek romantyzmu. Książkę przestępcy bierze się zazwyczaj do ręki z ciekawością i aprjorycznem, odpornem nastawieniem natury moralnej. Co też może napisać człowiek, mający na rękach i sumieniu „mokrą robotę", jak też świat naszych zjawisk załamuje się w tej duszy, żyjącej w innym wymiarze etycznym. Przed kilku laty trawiliśmy debjut Urke Nachalnika, przestępcy, który swój „romantyzm" zbrodni bardzo szybko i sprytnie wymienił na kupony honorarjów literackich. Sergjusz Piasecki jest pisarzem innego wymiaru. Wydaje się też człowiekiem nastrojonym na inny, wyższy kamerton pisarski. Czuje się to już po pierwszych kartach opowieści; sensacyjne podniecenie opada, giną bez śladu zastrzeżenia natury etycznej, zostaje tylko człowiek i jego książka. Twierdzimy, że na percepcję treści w żadnej mierze nie wpływa świadomość, iż książkę tę pisał przestępca — zapominamy o tem, urzeczeni nieodgadłym sposobem przedstawiania zdarzeń i prawdziwą magją przyrody, bijącą z kart opowieści. Obrazy przyrody rysuje autor najszczęśliwiej, wywołuje je środkami skromnemi, zbrojnemi jednak w jakąś niepojętą siłę plastyki i odczucia, owiewa je melancholją, podmalowuje prawdziwie romantycznem uczuciem tęsknoty, radości, duchowego zespolenia się w jedno z światem. Jeszcze jedna sprawa. Język Urke Nachalnika nie był językiem polskim, był jakimś zepsutym żargonem, popstrzonym złośliwemi nowotworami gwary złodziejskiej; język Piaseckiego daleki jest od doskonałości. Razporaz melodyjny rytm jego prozy strzępi niesforny zwrot czy słowo, razporaz poprawność mnie się nieporadnie wtrąconemi chwytami. Tak, ale to, co u Nachalnika było niesmaczną kokieterją, u Piaseckiego jest niezwyciężonym błędem, z którym walczy i który pewnie kiedyś zwycięży. Pamiętajmy, że od lat towarzyszami autora byli zbrodniarze i dozorcy więzienni, że swój język poetycki wykuwał w warunkach dalekich od marzeń — nierozumiany i sam. Czuje się, jak w toku opowiadania pasuje się autor z nieposłusznemi słowami, jak mu się one opornie odginają, jak niszczą gładziznę zdań, jak nieujarzmione, niedostrojone do rytmu całości odskakują od niej i niepotrzebnie żyją własnem, pozbawionem często sensu i treści życiem. A jednak ta świadomość zapasów twórcy z niepodległem jego woli tworzywem sprawia nam niemałą satysfakcję, na żywo prawie oglądamy proces powstawania dzieła. Widzimy jego braki i niedociągnięcia, radujemy się każdą śmiało i udatnie wypunktowaną pointą. Nie dziwimy się błędom, bo widzimy, że spoza tych okoniem stających zdań razporaz błyska talent wysokiej próby.

„Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" nie jest powieścią jednolitą, nie jest powieścią doskonałą, wśród partyj dobrych, pełno jest epizodów i ustępów artystycznie chybionych; nie możemy jednak wydawać o niej zdania na podstawie lektury lepszych czy słabszych miejsc. Odczytanie i przeżycie całości pozwoli nam dopiero zrozumieć i ogarnąć cały fenomen.

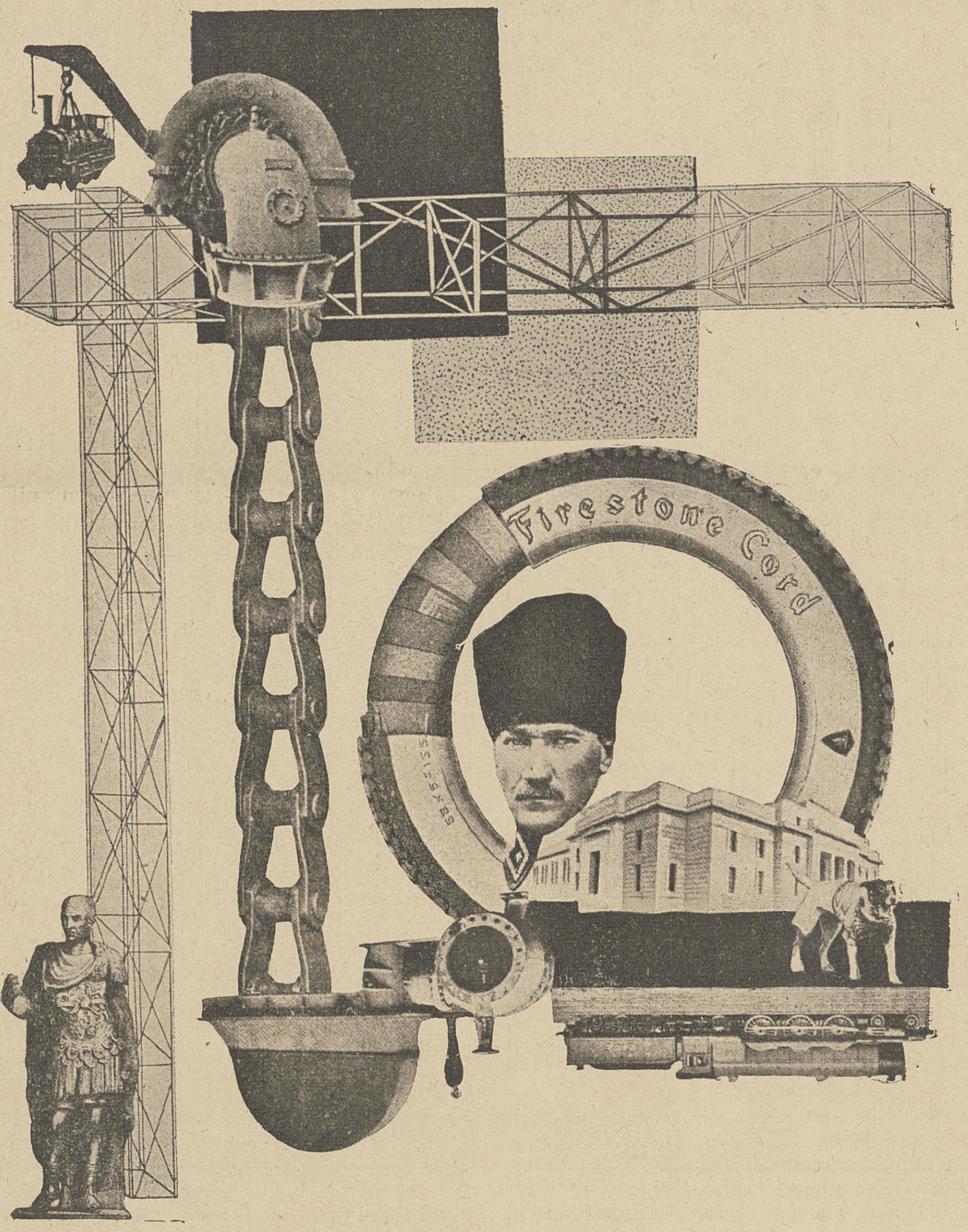
Ludźmi „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" są „fartowcy", tak autor nazywa przemytników. Tworzą oni swój odrębny, niepodobny do reszty świat — mają swe uśmiechy i łzy, swe prawa, obyczaje i... dusze. Żyją za marginesem społeczeństwa własnem, bujnem, brawurowem życiem, nieposzufladkowanem paragrafami ustaw, nieogrodzonem nakazami etyki zwykłych śmiertelników. Uderza w „Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy" niespotykane bogactwo postaci. Każda z nich posiada własne ziarno życia, czuje się, że wszystkie robione są na żywym materjale ludzkim. Niema postaci podobnych. Każda ma swoje własne „znaki szczególne", podkreślane często mimochodem, zapadające jednak na stałe w świadomość czytelnika. Jednoczy tych ludzi wspólne poczucie honoru zawodowego i żywiołowe ukochanie swego występnego rzemiosła. Ma się prawie pewność, że przestępstwa tych ludzi nie wykluwają się z niskich pobudek („z chęci zysku"), że kontrabandę i rozwój uprawiają dla idei, z jakiejś nadmiernej, wewnętrznej prężności sił żywotnych. Czyżby gloryfikacja przestępstwa? Nie. Autor nie zajmuje żadnego stanowiska etycznego, wspomina wprawdzie kiedyś, że wstrętna mu jest myśl: „zabić człowieka" — ale tych wstrętów bohater powieści w dalszym toku akcji niebardzo honoruje. Nigdzie też zbrodni nie gani, ani pochwala — poprostu jej nie dostrzega: co tam zbrodnia, skoro życie jest tak upajające, tak ciekawe, tak niebezpieczne, skoro dziś, jutro, kiedyś będą kobiety, wódka, karty, śpiew, skoro zawsze nad nami świecą gwiazdy, a Wielka Niedźwiedzica ma takie cudne, promienne oczy.

Podziw, umiłowanie, odczuwanie przyrody wszystkiemi zmysłami, wchłanianie jej dechu każdą porą skóry, to przewodni motyw całości, toteż zda się, że giną w tem najpełniejszem odczuciu przyrody inne wartości dzieła: więc dar żywego opowiadania, udatna gradacja dynamizmu akcji, bogactwo życia toczącego się na kartach książki, inteligentne przeprowadzanie wątków erotycznych. „Mocnych scen" w powieści dużo. Prawie każda przeprawa przez granicę to mały dramat, najsilniej jednak przemawia do nas scena pożegnania Władka ze Szczurem. Jest w tej lirycznej scenie jakiś czad niesamowitości, kładący się lękiem na serce, mgłą na oczy.

Drażniła niektórych krytyków amoralna postawa autora w odniesieniu do spraw, które przedstawia. Dziwił brak skruchy i jakiegoś przemeblowania etycznego. Czy słuszne są te zarzuty? Raczej nie. Powieść jest dobra tylko dzięki temu, że jest taka jaka jest, wszelkie moralizatorstwa i, wstyd pisać, kajania nie byłyby w smaku. Wiemy, że „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" to powieść biograficzna, że Władek i autor to jedna i ta sama osoba. Zastanówmy się, czy był, czy mógł być złym człowiek, który miał gwiazdy w sercu. Piasecki chwile błędu okupił bardzo drogo, pamiętajmy jednak, że to społeczeństwo, które go ukarało i oddzieliło od siebie pręgami krat, jest mu coś winne. Winne nie jako pisarzowi, bo za młode to długi, winne obywatelowi, broniącemu całości rodzącej się ojczyzny. Potem? Jakaż gorzka nauka. Dziś, kiedy podpisana została jedna z najświatlejszych kart naszej sprawiedliwości — przedterminowe uwolnienie Piaseckiego, nie zapomnijmy tej goryczy.

A Sergjusz Piasecki, wrócony życiu, niech pisze, bo pisać warto, warto.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI



Mieczysław Szczuka (17. X. 1898 — 13. VII. 1927) Fotomontaż

MARJA KOSZYC-SZOŁAJSKA

O TEATR EPOKI

Sprawa teatru jest jedną z głównych naszych bolączek kulturalnych. Od dłuższego czasu trwają żywe dyskusje, mające odpowiedzieć na pytanie, jak znaleźć wyjście z obecnego stanu. Niejedna już gorzka uwaga i niejeden poważny zarzut padł pod adresem naszych teatrów. Poruszono i omówiono wiele zagadnień. Jedno podnoszono najczęściej i najzgodniej: zagadnienie współpracy teatru z autorem, zwłaszcza z autorem początkującym. Jednym z głównych celów wszystkich dyskusyj było — utorować pisarzowi drogę do teatru. Czy cel ten zośtał osiągnięty? W jakiej mierze i w jakiej formie będą zrealizowane pobożne życzenia dramaturgji polskiej, przekonamy się niebawem: stoimy bowiem u progu nowego sezonu teatralnego. I ten właśnie sezon, bardziej niż jakikolwiek inny, będzie odpowiedzią na pytania, dręczące zarówno pisarza jak i widza. Czy w przyszłych pracach teatralnych, w zamierzeniach i dokonaniach znajdziemy bodaj echa niedawnych dyskusyj, czy zobaczymy bodaj częściowe rozwiązanie dojrzałych i istotnych zagadnień? Ale zanim rozpoczynający się sezon przyniesie oczekiwaną odpowiedź, nie od rzeczy będzie uświadomić sobie, czem był nasz teatr w latach ostatnich; jaki był jego charakter i kierunek?

Był, z nielicznemi wyjątkami, „teatrem ucieczki przed rzeczywistością". Tak go rozumiały „czynniki miarodajne". I tak nazywały. Był teatrem wytchnienia, teatrem wypoczynku. Stąd niewielki już krok do tego typu teatru, który Francuzi świetnie nazwali „théâtre de la digestion", teatrem „trawienia". Cel takiego teatru jest jasny: wpływać dodatnio na syte żołądki widza. Wprawdzie trudno o naszym widzu powiedzieć, że jest aż tak przesycony, iż koniecznością jest dlań „teatr trawienia", nie ulega jednak wątpliwości, że i u nas, jak wszędzie, jest pewna część społeczeństwa, dla której istnienie tego rodzaju teatru ma swoją rację, swój szczególny sens. Ale brać pod uwagę tylko tę garstkę uprzywilejowanych może tylko ten, kto nie rozumie znaczenia teatru albo kto je bagatelizuje. I jeśli nasz teatr, zwłaszcza w latach ostatnich, nie daje masom nic oprócz „lekkich komedyj", wesołych tekstów śpiewnych i innych hocków - klocków, to zmusza nas do wysnucia jasnych, aczkolwiek smutnych wniosków. Któż bowiem kazał naszym teatrom dogadzać sytym żołądkom, schlebiać niewybrednym gustom naszej rozdancingowanej i rozpląsanej klasy panującej? Czyż nie jest zadaniem teatru — użyję tu wyrażenia Tołstoja — „chwytać widza za kark i prowadzić go za sobą"? Czy nasz teatr prowadzi widza? A jeśli tak, to dokąd? Wystarczy chyba otworzyć jakikolwiek dziennik i popatrzeć na repertuar. Odpowiedź jest jasna. I nie tłumaczcie tego kanikułą: i przedtem nie było inaczej. Przyczyny należy szukać gdzieindziej. Znacznie głębiej: nasz teatr odwrócił się od rzeczywistości, od problemów dnia dzisiejszego. Stał się tylko miejscem rozrywki. I w tem sedno zagadnienia. Ktoś powiedział, że teatr musi być teatrem epoki. Bezwzględnie tak. Taki był zawsze. W przeciwnym razie przestaje służyć swemu przeznaczeniu i zatraca swój charakter istotny. Obserwujemy to w teatrze dzisiejszym, który jakgdyby znalazł się w błędnem kole. W epoce wielkich zmagań, wielkich przemian i jeszcze większych cierpień, teatr o świetnych i pięknych tradycjach niespodzianie stoczył się do rządu „théâtre de la digestion". Przyszły badacz dziejów teatralnych ustali niewątpliwie, jakie przyczyny zepchnęły go do poziomu obecnego. Dla widza natomiast współczesnego ważniejsze jest uświadomienie samego faktu, że teatr dzisiejszy nie stanął na wysokości zadania i przeszedł do porządku nad swą wielką epoką. Zapomniano o tem, że i Szekspir i Schiller, Moljer i Mickiewicz, Słowacki i Wyspiański, Ibsen, Tołstoj i Gorkij, i wielu, wielu innych, — wszyscy oni tkwili w dążeniach i cierpieniach swej epoki i dawali temu wyraz w swojej twórczości. I gdyby w ich dziełach nie było szlachetnego metalu myśli, wypalonej w ogniu cierpienia, imiona ich byłyby dziś tylko pustym dźwiękiem. Ale oni nie uciekali przed rzeczywistością, lecz ją zakuli w formy trwałe i wieczne. Przekazali ją nam.

Lecz co przekażemy my? I czy przyszłe pokolenia nie powiedzą o nas: „Lubili tylko happy end'y i na prawdę swej epoki zamykali oczy". Tak powiedzą. Bo tak jest. Bo nam wystarcza „lekka" komedja. Bardzo lekka. Coraz lżejsza.

Nad epoką najcięższych zmagań ludzkości, nad epoką krwi i nienawiści, nad „kresem nocy" płyniemy lekko i beztrosko. Dokąd?

KAROL KURYLUK

ŚLEPE TORY

Halina Górska: Ślepe tory. Powieść. Z cyklu „Barak płonie". Warszawa, „Rój" 1937; str. 247

Serce nienasycone. Tak nazwał Żeromskiego jakiś gorący wielbiciel. Chciał w jednem określeniu zamknąć wszystko, co mógłby o nim powiedzieć, co było i jest istotą najgłębszą człowieka i pisarza. Nie łatwo jest za jednym zamachem określić zjawisko tak rozległe, tak bogate i skomplikowane. Ale być może — te dwa słowa nie odbiegają od prawdy Żeromskiego, być może — wyrażają, że ten wielki pisarz od początku do końca, we wszystkich swoich poczynaniach, z jakichby motywów nie wychodziły i w jakim kierunku nie działały, w całej bogatej i tak rónorodnej twórczości pisarskiej, w całem swem życiu tragicznem — był tylko sercem nienasyconem.

I gdy czytam powieść Haliny Górskiej, przychodzi mi na myśl ta poetycka nazwa. „Ślepe tory" zrodziły się w człowieku podobnej postawy duchowej, co Żeromski.

Żeromski nie miał spadkobierców. Nikt już po nim nie reagował tak żywo, z takim protestem, z taką rozpaczą na ból i cierpienie, zadawane drugiemu człowiekowi, jak on, nikt już nie czuł litości, nie miał współczucia dla wszystkiego, co biedne i nieszczęśliwe, nikt nie podnosił buntu z wiary i przekonania, bez schlebiania komukolwiek, nikt już nie pojmował zadań, roli, misji pisarza równie odpowiedzialnie, jak on. Nietylko nie pojmował, znacznie więcej — nie spełniał. Bo dla Żeromskiego książka była nie przyjemną rozrywką, ale doniosłym czynem, nie fikcją poetycką, ale najbardziej wewnętrzną prawdą. Pisarz był nie aktorem, zgrywającym się wobec rozbawionej, bezmyślnej publiczności, ale nauczycielem i przewodnikiem.

Żeromski nie tworzył teorji swego postępowania. Żeromski taki właśnie był. W jego sercu nienasyconem żyła cała Polska, każdy człowiek tej Polski — sponiewierany i skrzywdzony.

*

Weźmy do ręki „Ślepe tory".

Kawałek życia tej Polski dzisiejszej. Niewielki, zamykający się do siedmiu mieszkań suterynowych lwowskiej „kamienicy czynszowej", ale przesłaniający sobą obraz wszystkiego, co jest poza nim. Zdaje się, jakoby poza tym korytarzem piwnicznym nędzy fizycznej i moralnej, brudu i rozkładu, poza tym realnym koszmarem, nic więcej nie istniało. To, co jest poza nim, nie jest prawdziwe, nie jest rzeczywiste. Jedyną rzeczywistością, jedyną naszą prawdą jest siedem najstraszniejszych mieszkań przy ul. Dekerta, jest kilkadziesiąt ludzi, których ludźmi nazwać nie można, jest ich straszliwy upadek moralny wskutek braku pracy, wskutek głodu i biedy. Ale ten korytarz i te siedem mieszkań i ci ludzie, to nie wyjątek, to nie coś przypadkowego. To tylko fragment — nieznaczny, drobny — całej reszty. „Staram się tu — mówi autorka na wstępie — niejako o zwężenie sceny do terenu siedmiu mieszkań, zwanych przez opiekunów „Jaskinią", podczas gdy właściwie powinna się ona rozciągać na ogromnej przestrzeni Lwowa i jego przedmieść". Wiemy, że ta „jaskinia" rozciąga się na przestrzeni całej Polski, być może — całego świata.

Górska wzięła na siebie cały koszmar tego korytarza. W niej on żyje. W niej budzi się dla niego współczucie i litość.

Potem, gdy okaże się, że beznadziejności tej piwnicy i tych ludzi nie pomoże ani współczucie ani litość, przychodzi bunt. Bunt przeciw beznadziejności. Ale i bunt tu nie pomoże. Wszyscy ludzie, którzy przychodzą z zewnątrz, są wciągani w tę beznadziejność jakiemiś niewidzialnemi mackami potwora, z którym nikt nie da rady, dostają się w trującą atmosferę zgnilizny, fizycznego i moralnego rozkładu. Usiłują z tem walczyć, usiłują walczyć z tym korytarzem. Przynoszą z innego świata — ze świata swoich marzeń i myśli — przekonania, wiarę, postanowienia, wolę, dalekosiężne plany, mądre hasła i teorje. Wszystko, co z sobą przynoszą, chcą zmierzyć w walce z „Jaskinią". Spoczątku są pełni wiary, że się to uda — że doraźna pomoc materjalna, pół litra mleka, bochenek chleba, kawałek węgla i dobre słowo, wszystkiemu zaradzą. Później ręce opadają. Nic się nie zmienia w korytarzu. Nędza tych ludzi jest taka sama, albo i większa, zgnilizna postępuje naprzód. Bakcyl, niewidzialny bakcyl, ukryty w ciemnym, cuchnącym korytarzu, w siedmiu wilgotnych mieszkaniach - piwnicach, w sercu i mózgu każdego mieszkającego tam człowieka — powoli wychodzi nawierzch i toczy żywe ludzkie organizmy. I nawet ten, kto tu przychodzi z zewnątrz bodaj na krótką chwilę, zabierze z sobą zarazka rozkładu, podda się truciźnie.

A korytarz zostanie. Odejdą, będą wyrzuceni, wymrą ci lokatorzy, przyjdą inni, podobni. I tak bez końca!

Bez końca?

Nic się nie zmieni, jeśli zostanie ten korytarz. Nic się nie zmieni, jeśli nie usunie się tysięcy, miljonów korytarzy.

Kto winien, że tak jest? Lokatorzy piwnicznych mieszkań przy ul. Dekerta wynajdują najróżniejsze przyczyny; wszystkie są pozorne, wszystkie są tylko wyrazem ich własnych doświadczeń i przeżyć. Nie znajdują przyczyny istotnej, nie umieją i nie mogą jej znaleźć.

Wiemy. Ustrój. To ustrój jest winien, że mogą istnieć korytarze i piwnice, w których mieszkają ludzie od wielu lat bez pracy, bez przyszłości i bez nadziei. To ustrój jest winien, że wszystko, co nas otacza, staje się cuchnącym piwnicznym korytarzem, że atmosfera, w której żyjemy, jest coraz bardziej trująca i rozkładowa, i że my sami stajemy się powoli ludźmi z siedmiu suterynowych mieszkań przy ul. Dekerta.

I przychodzi jedna decyzja: należy je zburzyć, zniszczyć. A potem refleksja: czy zmiana ustroju wszystko zmieni, czy wszystko będzie naprawdę inne? Co robić, aby nie było tych korytarzy, tych mieszkań i tych ludzi?

Książka kończy się akordem beznadziejnym, pesymistycznym: niema wyjścia z korytarza. Co stanie się z tymi, którzy przyszli ratować lokatorów? Jedni odejdą, złamani nazawsze, drudzy się cofną, inni pójdą dalej.

*

Książka Górskiej, stanowiąca pierwszą część cyklu „Barak płonie“, jest dokumentem społecznym. Dokumentem prawdy własnej pisarki i dokumentem życia. Jeśli ktokolwiek zechce oskarżać nasz ustrój, porywająca opowieść autorki „Nad czarną wodą“ stanowić będzie materjał dostateczny. Jeśli ktokolwiek zechce znać prawdę o losie skrzywdzonych i wydziedziczonych, znajdzie ją w „Ślepych torach“. Prawda ta jest tak przerażająca swoją okropnością, jest przedstawiona tak prostemi, surowemi środkami artystycznemi, że nie można przejść obok niej ze spokojnem sumieniem. Ona w nie uderzy, wstrząśnie i potarga.

Ludzie „Ślepych torów“ są spośród nas, są prawdziwi i jedyni. Każdy z nich ma swą cechę odrębną, każdy z nich jest dla siebie oddzielnym światem. Razem — również są jednem — piwnicznym korytarzem, z którego niema wyjścia. Jakże prawdziwa jest Marja Kubiak, prostytutka, żyjąca tylko jednem: zwierzęcą miłością do swego dziecka. Niedostępny Andrzej Bonior, stojący jakby z boku i obserwujący, co się wokół niego dzieje, jest prosty i jasny — jak innym znów, kapitalnym typem służącej i drobnomieszczanki jest jego żona. Stawarska, Rudzka, Haszczanowa, Łabaj, Minczelesowa, Kulasik i jego żona — to bogata galerja bohaterów korytarza. Każdy z nich czemś innem wzbogaca naszą wiedzę o człowieku, wszystkim im jest wspólna ta sama niedola.

Niezapomniane są również postacie dzieci: jakże prawdziwy jest Wicek, jakże wzrusza nas liryczna opowieść o skrzypcach Janka Haszczana. A obok Romek, Genka, Stasia i inne; wszystkie już od najwcześniejszego dzieciństwa wciągnięte w wir brutalnego, haniebnego procederu życia.

I ten drugi świat. Opiekunowie. Przychodzą ratować, znaleźć porozumienie, urzeczywistniać swoje prawdy. Ale prawda korytarza jest niepokonana. To ona zwycięża.

Ani ta, która mocnym głosem wszystkich do pracy wezwała, Krystyna, ani Jan, pragnący budować szklane domy, ani Helena, bezrobotna intelektualistka, ani Stefan, wierny wyznawca Marxa, ani Joanna, poszukująca Boga, ani matematyk Maurycy, ani wreszcie Marja — nikt z nich nie zmienił i nie zmieni korytarza. To właśnie oni poddali się jego działaniu.

Przemyślana, celowa kompozycja „Ślepych torów“ daje widok na różne sprawy i na różnych ludzi z wielu stron, skupia je w jedno miejsce i każe im iść w jednym kierunku. Autorka często posługuje się skrótem. Niejedna ze spraw, niejeden z tych ludzi mógłby sam stanowić materjał na całą powieść. Ale to właśnie bogactwo zagadnień i postaci stwarza realny świat, stwarza tę ciężką, przytłoczoną, duszną atmosferę, od której trzeba — *uciec*, jeśli się nie jest w stanie jej usunąć.

Karol Kuryluk

HALINA GÓRSKA

UCIECZKI

Fragment drugiego tomu powieści „Barak płonie“

Kiedy Katarzyna po raz pierwszy poprosiła Andrzeja, żeby ją ze sobą zabrał do Badaczy, Andrzej zdziwił się bardzo. Dotychczas popłakiwała przecież ciągle po kątach i niezdarnemi słowami, naiwnemi, dziecinnemi argumentami, które najwidoczniej przygotowywała sobie pracowicie przez długie godziny, starała się go przekonać, że to przecież chyba najcięższy już grzech, za który niema ani w tem, ani w tamtem życiu wybaczenia. Napróżno tłumaczył Andrzej. Słowa jego zdawały się wogóle nie docierać do niej. Patrzyła na niego z rozpaczą, pociągając nosem i pochlipując, najwyraźniej nie rozumiała ani jednego zdania, a może nawet — wogóle niczego nie słyszała.

I oto ta sama Katarzyna prosiła go, żeby ją zabrał ze sobą.

Nie wiedział Andrzej, że na decyzję Katarzyny wpłynął ksiądz. Kiedy bowiem dowiedziała się od księdza, że jeżeli nie odciągnie męża od herezji, to utraci go na całą wieczność, — powzięła postanowienie.

Wiedziała przecież od początku, choć tak rozpaczliwie walczyła, że — nie odciągnie.

Gdzieżby ona mogła o czemś przekonać Andrzeja, który był może uczeńszy i mądrzejszy od samego księdza?!

Jeśli więc Andrzej musiał być potępiony, Katarzynie pozostawało już tylko to jedno.

Ale — jakże nienawidziła odrapanej sali, bez obrazka, bez kwiatka, bez organów nawet, z surowym, czarnym krucyfiksem na ścianie, która tym szaleńcom zastępowała kościół.

Czasami, w niedzielę, to aż płakała z tej tęsknoty i rozpaczy. Oto już niedługo nadejdzie najpiękniejsza w roku pora majowych nabożeństw. Zapachnie o zmroku w rozśpiewanych kościołach bzami i konwalją i każda, każda będzie mogła ogarnąwszy się trochę, oderwać się od codziennej harówki i aby na tę jedną godzinę wziąć udział w święcie. Tylko nie ona, tylko nie Katarzyna!

I przecie nawet małe dziecko mogło widzieć, że i w żydowskiej bóżnicy było piękniej, nie zaś w katolickim kościele!

Ale te heretyki, którym, jak dobrze powiedział Katarzynie ksiądz, pycha szatańska uderzyła do łba, takie były rade, że mogą siedzieć w tej śmierdzącej dziurze i nad Pismem Świętem mędrkować, że niczego nie dostrzegały.

Najbardziej jednak, to nie mogła znieść Katarzyna jednego tramwajarza, który tu jakby rolę kapłana odgrywał, oznaczając ustęp, nad którym się będzie dyskutować, i otwierając każde zebranie. Aż się w niej ze złości wszystko przewracało, gdy tylko na niego popatrzyła.

— Biskup, co bilety dziurkuje! — myślała szydliwie — jak to słodziutko przemawia, a oczy przewraca... Będą cię jeszcze djabli na patelni przewracali!

A cóż dopiero, gdy na jego wezwanie każda zwykła baba, każdy magistracki śmieciarz, zabierał głos w sprawach Pisma Świętego! Jednego, to przecież sama znała — dozorca z drugiej kamienicy!

Tylko, kiedy na wzniesienie wchodził Andrzej, szyderstwo Katarzyny znikało gdzieś bez śladu, a wszystko wokół przestawało się wydawać niedorzeczne, bluźniercze i obmierzłe.

Jakże głęboko brzmiał jego głos, gdy tak stał wśród tych wszystkich, zapatrzonych w niego ludzi! Taki był piękny, taki promienny, taki inny, niż wszyscy inni, że Katarzynę ogarniały nagle wątpliwości, czy może jedynie słuszne i prawdziwe nie było to właśnie, w co on wierzył i co on głosił?

Ale z biegiem czasu Andrzej coraz rzadziej przemawiał.

Siedział cichy, zgaszony i zamyślony, jakby nie widział, co się wokół niego dzieje. Oczy jego miały znowu to dobrze znane Katarzynie spojrzenie, tak obce i dalekie, że możnaby pomyśleć, iż Andrzej jest gdzieś o tysiąc mil stąd, gdyby nie gorzki i bolesny uśmiech, który pojawiał się czasem na jego ustach.

Tego dnia tramwajarz czytał ustęp z ewangelji św. Łukasza o owym człowieku, który puka po północy do drzwi, żądając chleba.

„I jać wam powiadam: proście, a będzie wam dano, szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a będzie wam otworzono.

Każdy bowiem, kto prosi, bierze, a kto szuka, znajdzie, a temu, co kołacze, będzie otworzone“.

— Bracia — zapytał — jakże rozumiecie te słowa Pisma Świętego? Czy należy je rozumieć jako jałmużnę chleba? Czy też ten chleb, to wiara chrześcijańska, do której nigdy nawrócić się nie zapóźno, bo łaska Pana jest niewyczerpana? A może ten chleb, to Miłość, albo — Prawda?

Ze wszystkich stron izby poczęły podnosić się głosy.

Ktoś wszedł na katedrę i przekonywał namiętnie, ktoś równie namiętnie przeczył, ktoś jeszcze raz pochylał się nad książką, jakby chciał zgłębić sens słów.

Katarzyna patrzyła na Andrzeja. Przez chwilę zdawało się jej, że i on także zacznie mówić, gdyż podniósł się powoli. Ale Andrzej cicho przysunął się do drzwi, otworzył je ostrożnie i wysunął się z sali.

Niewiadomo dlaczego Katarzyna nie śmiała iść za nim.

A Andrzej szedł przed siebie, nie widząc nic, w wczesny mrok marcowego wieczoru.

Od ziemi zaczynało już pachnąć wiosną. Jedne po drugich zapalały się w granatowym zmierzchu latarnie.

I Andrzej czuł znowu, jak wówczas, przed laty, bardziej bolesną niż pogarda lub nienawiść — litość.

— Prawda?! — myślał — Prawda?!

Czy były takie drzwi, poza któremi się znajdowała i które mogły uchylić się po północy?

JERZY KAMIL WEINTRAUB

POWRÓT

Dokąd wiedziesz, żeglarzu, najzwiewniejszą z flotyl,
dal mierząc wzrokiem dumnym pod gwiazdą polarną?
Wiatr uniesień twe ciało płomieniem ogarnął.
Dzień kona, jak bezradnie łopocący motyl.

To dobrze, mój zwycięski. Czas przepłynie obok,
by z męki nieb bezdennych jasna pieśń wyrosła.
Wtedy, wierna kochanko, wiersze pobłogosław
i jak świt czule tuli najróżowszy obłok,
utul czoło zmęczone, by odeszła troska.

Wówczas, zwiewna flotylo, dawny ląd pożegnasz,
a oczu ostry szafir, jak głąb oceanu,
powita, chyląc głowę snami skołataną,
ku tobie, najjaśniejsza, najszczęśliwszy żeglarz.

NOWY CÉLINE PO POLSKU

Louis-Ferdinand Céline: Śmierć na kredyt. Przeł. P. Stark. Lwów, „Globus“, 1937.

„Mort à crédit“ omówiłem obszernie w warszawskim „Kurjerze Porannym“ na kilka miesięcy przed ukazaniem się polskiego przekładu tej książki. Nie chciałbym na tem miejscu powtarzać tamtych myśli, raczej zwrócę szczególną uwagę na strony wówczas nieoświetlone, które po „odleżeniu się“ tematu występują teraz z tem większą wyrazistością.

Céline jest typem pisarza, uprawiającego donkiszoterję osobistą; mówi — siebie (nie tylko o sobie) i przez swój abnegacyjny stosunek do świata zaprawia go goryczką jakgdyby obserwacji, która w rzeczywistości jest własną katastroficzną oceną zjawisk, objektywną tylko jako test psychologiczny, pozatem bez prawa powszechności. Drugi odcinek wspomnień w stosunku do „Voyage au bout de la nuit“ cofa się, obejmując lata od dzieciństwa do 19-tego mniej więcej roku życia. Wprowadza czytelnika w za... rodzinę urzędniczka asekuracyjnego i właścicielki koronkarskiego kramu na przedmieściu Paryża, gdzie sztucznie wysilona nędza idzie w zawody z takiem napięciem nerwów i złej woli wobec najbliższych, że wychowanie zboczeńca w tych warunkach z najnormalniejszego dziecka nie byłoby zjawiskiem zanadto dziwnem. No dobrze, wiadomo już, mały Ferdynand jest zakałą rodziny, wyrośnie z niego hultaj, zawiedzie wszystkie pokładane w nim nadzieje przez i tak już zawiedzionego kancelistę, któremu na nic się nie zdała łacina gimnazjalna i trochę talentu malarskiego. Mały pechowiec obchodzi jako uczniak i terminator sklepy i warsztaty, nigdzie nie mogąc zagrzać miejsca i sprowadzając wyraźny rozkład swoją obecnością; przyjmują tę biedną, gapiowatą figurę tylko tam, gdzie dobrze już śmierdzi opłakanym końcem przedsiębiorstwa. Ratuje nieszczęśliwca w samą porę wuj Edward, optymista ze zmysłem technicznym. Gdzie zawodzi humanizm spod ciemnej gwiazdy ojczulka piekielnika, przychodzi z pomocą niezorjentowana etycznie, ale naprawdę poczciwa przedsiębiorczość Edwarda. Po epizodzie u złotnika, gdzie przez megerę, żonę szefa, Ferdynand zostaje posądzony o kradzież, następuje wyjazd do Rochester na naukę do zakładu wychowawczego. Ferdynand nie gada, zbuntował się, świat jest podły, język angielski ma gdzieś; zato utopiła się przez niego żona właściciela szkoły. Po powrocie do domu wskazówka w elektrycznym zegarze, gdyby taki istniał do mierzenia namiętności, powinna skoczyć na „danger“, niebezpieczeństwo, w jednej ze strasznych scen rodzinnych Ferdynand wali maszyną do pisania w głowę ojca. Dla tej okropnej i miażdżącej sceny wartoby już książkę napisać, gdyby wszystko inne było do niczego. Potem następują długie historje u Courtiala des Pereires, popularyzatora wiedzy, romantycznego szarlatana, aż do samobójczej śmierci szefa. Ferdziu siedzi znowu wujowi na karku.

Te wyrwane z życia ochłapy kliniczne, którym obcy jest wszelki ład albo cel kompozycyjny — jako materjału powieści, naprowadzają na dziwne i rozbieżne czasem wnioski. W poprzednim artykule wyszukałem Céline‘owi koneksje ze współczesną prozą niemiecką i angielską, Remarque‘a, Finka, Benna, Brechta, Lawrence‘a i Joyce‘a, teraz widzę, że jest w nim także coś ze starej szkoły Balzac‘a i Rabelais‘a, Tołstoja i Dostojewskiego. Te szeroko rozplanowane postaci książki, sypiące tyradami, w których charakter obtacza się bez uwagi na sytuację w powieści, zalatują myszką swojej ornamentyki, stojącej nieraz w sprzeczności ze stylem Céline‘a. Mamy tu do czynienia z ciekawym rozkojarzeniem. Autor posługuje się zdaniami krótkiemi, zwartemi, o cynicznym i zaczepnym podkładzie emocjonalnym, zdaniami jazzowemi, chciałoby się powiedzieć, a tu mu wali pod pióro secesyjna postać Courtiala; grąży się przez nią jednak, grąży pod wielkiem ciśnieniem i z djablim talentem.

P. Stark przetłumaczył „Śmierć na kredyt“ dobrze. Widać, że jest zaczadzony Célinem, a musi to być najważniejszy warunek współtwórczego przekładu, dlatego oceniając tę inwencję, bez żalu darujemy mu drobne zachwiania językowe, które na przyszłość dadzą się z łatwością usunąć.

Marjan Promiński

FRANCISZEK GIL

USPOŁECZNIENIE KULTURY

Bogdan Suchodolski: Uspołecznienie kultury. Warszawa, „Rój“ 1937.

Kryzys kultury współczesnej stał się już w kilka lat po wojnie przedmiotem dociekań i badań intelektualistów. Szczególnie na Zachodzie pojawiło się szereg publikacyj i rozpraw naukowych, choćby wymienić O. Spenglera „Der Untergang des Abendlandes“, Andrè'go „La crise de l'Europe“ czy ostatnio wydane w Paryżu studjum Martin'a Bubera.

Dzieła te weszły odrazu w ogień zaciętych polemik i dyskusyj, usiłujących odszukać istotny sens dzisiejszej kultury, wykryć diagnostycznie jej schorzenia. Do nas docierały (niezawsze) tłumaczenia, które wzrastających zainteresowań nie zaspokajały, nie odpowiedziała im także jakościowo produkcja rodzima, zalew broszur, z tych bowiem tylko publikacje Grabskiego, Kruczkowskiego i Miłkowskiego zyskały swą wartością szerszy odgłos i dłuższy żywot. Dzieło analizujące i syntetyzujące szereg pasjonujących współczesność zagadnień jak: idea powszechności kultury, kultura elity i kultura mas, postępu, mit produktywizmu, technika i kultura, badanie i nauczanie, wychowanie — wyszło niedawno spod pióra Bogdana Suchodolskiego. Genealogja „Uspołecznienia kultury“ jest grubo wcześniejsza od roku 1937, sięga lat 1929 i 31, kiedyto po raz pierwszy były drukowane niektóre studja, ujęte dziś w książkową całość, której przewodnim motywem jest pytanie: „czy i jak można uczynić kulturę sprawą żywą i powszechną?“

Rozpatrywanie zagadnień kultury współczesnej, wśród których na pierwszym planie postawiono doktrynę postępu, poprzedzone zostało tutaj obszerną analizą pojęć kultury. Z głębokim refleksem historycznym została potraktowana idea postępu, której najsilniejszy cios zadały: zmierzch teorji ewolucji, wypieranej coraz silniej przez transformizm, oraz rozerwanie łańcucha dziejów na samoistne epoki przez rozwój badań historycznych. Autor, ilustrując wszechstronnie siły i prądy podkopujące doktrynę postępu, zwraca uwagę na konieczność uratowania wiary w wartość i sens ludzkiego życia, przeciwstawienia rozkładowi tradycyjnych dogmatów nowej twórczej siły. Przechodząc do *pracy* jako zagadnienia kultury, Suchodolski po szeregu rozważań ustala, iż zadaniem naszej epoki jest przekształcenie wszelkiej pracy ludzkiej w pracę twórczą, z oddaniem równoczesnem maszynom pracy niewolniczej, mechanicznej. Zadaniem nowego humanizmu jest walka już nie z ascezą i scholastyką, ale z niewolą warunków społeczno-gospodarczych. W ustosunkowaniu się do problemu pracy wybiera drogę pośrednią między Brzozowskim i Abramowskim, ideał Skwarczyńskiego: organiczny i moralny związek człowieka z warsztatem, wykazuje następnie szkodliwość nieuspołecznionego, niedostosowanego do potrzeb konsumenta, związanego z ustrojem kapitalistycznym produktywizmu, konkludując, że przebudowa anormalnych stosunków kulturalno-społecznych musi pójść w kierunku, który dozwoli jednostkom na prowadzenie życia jednoczącego na tym samym poziomie wolę tworzenia i pragnienie kształcenia się. Pokaźne miejsce zajmuje rozdział „Technika i kultura“. Wnioski jego streszczają się w żądaniu uwolnienia techniki od destrukcyjnych ideałów dotychczasowej ekonomji, stworzenia takich warunków, w których miarą organizacji społeczno-gospodarczej byłyby nie praca i nie produkcja same w sobie i dla zysku, ale produkcja dla dobra życia ludzkiego, praca jako wyraz osobowości i jej dążeń.

Może najbardziej ciekawa jest część książki zatytułowana „Doba współczesna“, gdzie autor w wielkich syntetycznych rzutach myślowych usiłuje dotrzeć do istoty kultury europejskiej, wyświetlić sprzeczności, grożące Zachodowi upadkiem. Kultura nasza, dwuwarstwowa, nabiera według Suchodolskiego w miarę swego rozwoju rozbieżności wewnętrznej, cechuje ją przytłoczenie żywotności. Jest kulturą zewnętrznych zespoleń i wewnętrznego rozbicia, swobody i niewoli człowieka. Stworzyła nowe pojmowanie i odczucie rzeczywistości, zastępując ją duchem człowieka, zamieniając prawdy w poglądy, normy w postanowienia, wartości w korzyści, zracjonalizowała i sformalizowała urządzenia ludzkiego współżycia, oddaliła człowieka od człowieka, a jednostkę od grupy i dziejów. Przeniosła sens życia człowieka z jego duszy w świat otaczający, wywyższyła technikę, organizację, obliczenia, środki, zyski, i jest kulturą opanowywania życia siłami ludzkiemi i wyzyskiwania go dla ludzkich korzyści. Z tego też względu budzi pożądanie głębszego zespolenia ludzi z ludźmi, społeczeństwa z ideą, pojmowania człowieka i życia jako realizacji celów moralnych. Zakłamaną wewnętrznie i rozbitą kulturę dwuwarstwową odrodzić może twórcza siła ludzka, przebudowując demokracje parlamentarną, kapitalizm, liberalizm, i opanowując złe skutki rozwoju techniki i komunikacji. Do kultury jednolitej, prawdziwie humanistycznej dąży cały świat i w niej dopiero, gdy stanie się codziennem doświadczeniem człowieka, odrodzi się wielkość sztuki, która nie może być izolowana, odświętna. Trzeba więc zmiany warunków mas, złączenia zagadnienia piękna z kwestją miłości i braterstwa, z zadaniem używotnienia kultury i sprawiedliwości.

Studja końcowe poświęcone zostały badaniu i nauczaniu. Suchodolski rewiduje pojęcia: badacz — nauczyciel — uczeń, zaznajamia czytelnika z najnowszemi poglądami na oświatę, proces uczenia się i badania, daje rys konfliktu nauki i oświaty, przeciwieństw między kulturą objektywną i subjektywną, ustala ścisły związek procesów intelektualnych ze sferą życiową, łączność kultury intelektualnej i warunków społecznych. Wysuwa się tu zagadnienie humanizacji nauki, stworzenia z kultury prawdziwej, szczerej potrzeby mas, doświadczanej i pogłębianej w codziennem życiu, konieczność budowania kultury jednolitej i harmonijnej.

Tom zamykają „Refleksje“, pełne mocnego, nieoczekiwanego liryzmu, ustęp związany z postawą wychowawczą Mickiewicza i Piłsudskiego, oraz nawiązanie do polskiej rzeczywistości p. t. „Nasza droga“. Powtórzyły się tu ważniejsze na tle bieżącej sytuacji wewnętrznej Polski akcenty poprzednich rozdziałów. Jeżeli największą klęską naszych czasów jest niezdolność współżycia ludzi z ludźmi — to zaradzić temu musi zreorganizowanie życia i wychowania. Wychowaniu młodzieży w Polsce trzeba wielkich zadań i sprawdzianów, młodości narastających, patrzących w przyszłość i przenikniętych wolą działania pokoleń trzeba dać nowe rozległe pola działań odpowiedzialnych, one bowiem będą budowały tę przyszłość i będą zdolne zastąpić szkołę wojny, którą odbyły pokolenia starsze. Trzeba pamiętać, zaznacza przytem Suchodolski, że nietylko szkoła i nauczycielstwo wychowują młodzież, ale całe społeczeństwo dojrzałe i to nie tem, co do niej mówi, ale tem, jak żyje i co czyni z podwładną sobie rzeczywistością. Dlatego smutnie wygląda postulat autora zawarty w rozdziale „Mit produktywizmu“, „by podstawą wychowania państwowego stało się wpajanie zasad sprawiedliwego, uspołecznionego ustroju gospodarczego, i to nietylko ze względu na przyszła przebudowę społeczno-gospodarczą, która wcześniej czy później musi się dokonać, ale i ze względu na dobro dzisiejszej młodzieży, poszukującej ideału“... postulat poparty argumentem, że duch uspołecznienia, duch Staszica i Abramowskiego jest bliski dziejom Polski... Ważne skądinąd jest żądanie przezwyciężania kastowości inteligencji.

W rozpatrywaniu przytoczonych zagadnień, w wyjaśnianiu, dowodzeniu i przekonywaniu, w swobodnem posługiwaniu się zarówno dawnemi jak i najświeższemi osiągnięciami myśli filozoficznej i socjologicznej ujawniają się rozległe europejskie horyzonty umysłowe autora.

Zebrane studja, wyodrębnione przez edycję książkową z szybko przemijającej fali aktualnej publicystyki, zachowały mimo wewnętrznej jednolitości nieznaczne, niekiedy nużące piętno dyskusyjne, pozostałość dawnej formy publicystycznej.

Objektywizm, żywotność i szerokie potraktowanie zagadnień, brak uciążliwej frazeologji naukowej, głęboka troska o człowieka uzasadniają dobitnie wartość tej książki.

STANISŁAW WYGODZKI

A U T O P O R T R E T

Lustro mi daje wiedzę bolesną.
Oto są oczy, któremi patrzę,
gdy wstaję ze snu.
Oto są oczy, któremi widzę —
aktor bezwiedny i widz w teatrze,
kiedy oczyma dostrzegam miłość
i gdy spojrzeniem swem nienawidzę.

W tych oto oczach z orbit wydartych
niema już świata.
W mych oczodołach, które gaz sparzył,
leży świt martwy
o zmiętej twarzy.
Tłuste robaki z kątów wyłażą,
ciekną mą twarzą,
suną mą twarzą.

Oto są usta, które zaciskam —
teraz już krwawią.
Drzazga pocisku
miażdży mi wargi,
kruszy mi zęby,
żwir mam w ustach,
glinę i piach,
a gdy próbuję słów mych najprostszych,
słów bez uniesień
i słów bez skargi,
każdy mój wyraz w syk się wyostrzy,
w oddzew zatruty,
co ginie i rwie się
w śmiertelnie bolesne:
ach!

Oto jest nos, którym jeszcze oddycham,
i kiedy po nim miazga zostanie
i z dziur wyżartych fosgenem
bezwonnym
ciec będzie kroplą ciemno nabrzmiałą,
dławiący oddech i w strzępach
ciało,
wnętrze wywali juchę smrodliwą
i zamiast woni kwiatów
i traw
spełznie po miejscu, gdzie usta były,
krew robaczywa
kleistą oliwą —
kościste bryły
wyjdą
najaw.

Oto jest czoło.
Czoło bez zmarszczek
i opalone wichurą burz
i zanim krwawe zakreśli koło
aż do mej czaszki drążący
nóż,
zdejmę kapelusz, obejrzę pręgę,
która otacza pasmem czerwonem
czoło i czaszkę
kolisto,
a kiedy spojrzę,
spostrzegę nagle,
że krople ciekną,
że już się sączą,
nie jakbym ręką drżącą
na głowę
kapelusz kładł —
tylko koronę cierniową.

KRONIKA UKRAIŃSKA

Atlas Ukrainy. Wyszedł z druku wielki Atlas Ukrainy i krajów ościennych (Ukraiński Instytut Wydawniczy, Lwów). Atlas opracowało pod redakcją dra W. Kubijowycza 17 uczonych ukraińskich. Obejmuje on 151 kart, 132 diagramów, 48 stron tekstu i jest poważną pozycją w ukraińskim dorobku naukowym i kulturalnym.

Pisma Marka Czeremszyny. Oddawna zapowiadane pełne wydanie utworów wielkiego pisarza chłopskiego, Marka Czeremszyny, zostało zrealizowane. Nakładem wydawnictwa „Izmaragd“ ukazał się tom pierwszy i drugi. Całość obejmuje trzy tomy.

Konkurs na sztukę teatralną. Zarząd Towarzystwa Ukraińskich Literatów i Dziennikarzy im. I. Franki rozpisał konkurs na sztukę dramatyczną, przystosowaną do warunków pracy ukraińskiego teatru. Z nadesłanych utworów ani jeden nie odpowiadał warunkom konkursu. Wyróżnione dwa utwory (J .Kosacza i E. Iwanciwa) sąd konkursowy odesłał autorom z propozycją odpowiedniej przeróbki.

Nagroda literacka. Jak donosi „Snip“ (dodatek literacki pisma „Hromadśkyj Hołos“) ukraińska emigracja w Kanadzie postanowiła uczcić pamięć wielkiego pisarza demokratycznego Wasyla Stefanyka ufundowaniem nagrody literackiej za najlepszą powieść, wydaną w r. 1937 w Polsce i na emigracji.

Śmierć poety. Dnia 6 lipca b. r. zmarł we Lwowie bardzo zdolny poeta Bohdan Igor Antonycz. Był autorem trzech tomików wierszy i niedokończonego libretta do opery o Doboszu. W roku 1934 był laureatem nagrody Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, zaś w r. 1936 Katolickiepo Związku Ukr. W Antonyczu młoda literatura ukraińska straciła jednego ze swych najwybitniejszych przedstawicieli. Poezje Antonycza były przekładane na język polski. W „Sygnałach“ ukazały się przekłady T. Hollendra.

Ukrainiec — reżyser filmowy. Od kilku lat pracuje w Paryżu znany reżyser filmowy, Eugenjusz Desław (Słabczenko). Ostatniem jego dziełem jest film „Droga miłości“.

Ku czci Szaszkiewicza. W setną rocznicę ukazania się dzieła Markiana Szaszkiewicza „Rusałka Dnistrowa“ odbyły się wielkie uroczystości. W Złoczowie ukazała się jednodniówka, poświęcona twórczości tego poety.

Pełne wydanie utworów Łesia Martowicza. Po wydaniu dzieł Marka Czeremszyny, wydawnictwo „Izmaragd“ zamierza przystąpić do druku zbioru utworów wybitnego pisarza chłopskiego, Łesia Martowicza.

„Motria“ po polsku. Nakładem „Roju“ ukazała się w przekładzie polskim Marji Bieńkowskiej głośna powieść Bohdana Łepkiego „Motria“. W jednym tomie została wydrukowana pierwsza i druga część trylogji. Zauważyć należy, że „Motria“ ukazała się już w języku czeskim, rosyjskim i angielskim.

Historja ukraińskiej kultury. Od października 1936 r. ukazuje się co miesiąc jeden 48-stronicowy zeszyt „Historji Ukraińskiej Kultury“ (Wydawnictwo „Ukraińska Prasa“ we Lwowie). Całość obejmie 15 zeszytów, 720 stron druku i około 450 ilustracyj.

Rocznice. Dnia 1 sierpnia br. minęło 24 lat od śmierci znanej ukraińskiej poetki, piszącej pod pseudonimem Łesia Ukrainka. Dnia 10 sierpnia b. r. minęło 30 lat od śmierci wielkiej pisarki, znanej pod pseudonimem Marko Wowczok (nazwisko: Marja Markowyczewa). Opisywała ciężką dolę chłopów.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

JANOSIK Z TARCHOWEJ

Fragment poematu który ukaże się wkrótce nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie

Duje... duje... Ej, zawieje srebrnym kurzem dymią,
sieką lodem po bacówkach w kukły krowich wymion,
na polanach, po upłazach świszczą wartkie wiatry,
białem widmem w śnieżnym dymie nikną rankiem Tatry.
Dmie kurniawa. Uuu...! — zawodzi. Wieje, wyje dziko:
nie uwidzi na dziedziniec nic, choć oko wykol!

W czarnej izbie od świtania zgiełczy babski lament,
zwiesił chłop u progu głowę ciężką niby kamień.
Gaśnie świat w źrenicach owcom. Ej, beczy głód w szopie!
Nie wyskrobiesz nic prócz kłaków ze łba, głupi chłopie!
Nie wyiskasz, choćbyś zdychał, gdy komora pusta...

Do Świętego Jana pierzem kurzył tak, nim ustał.

Z wiosny nie wiał. Zato bestja jak wziął z hal dąć teraz,
w on puch chuchać, dachy nosić, kosić las — i nie las,
lawinami w kmiece walić, topić, wanty toczyć,
wierzbom w kudły piargiem praskać, po drogach się droczyć,
jak nie jęły żlebikami ciec strużki, strumienie,
spod wykrotów dziurgać, pluskać, bluzgać zza kamieni,
jak się toto nie rozlało dołem — mocny Boże! —
wprost z prawieku starodawne podhalańskie morze!
Brało nurtem z obór w bory na łup i żer wilkom,
co popadło, nic nie szczędząc... że utop się tylko!
Przenosiło młyny, mosty na plecach stawiało,
a i statku bogatego spławiło niemało,
spłukiwało szałaśników, zmywało gazdostwa, —
snać za pańskie grzechy naszła taka kara boska.
Niejednego hań wyścigło na lepszy świat chłopa,
nim po Pietrze z Pawłem wreszcie ten potop i opadł.

Jeszcze dym się nad domami nie wzniósł i nie ucichł
po zagrodach chlustający tęczą krzyk koguci, —
ledwie który Tarchowianin sochą w gruz się worał,
już z pachołkiem wpław przyczłapał ekonom ze dwora.
Stanął w błocie wedle karczmy, nasienie pogańskie,
i wzdął gardziel i zagęgał jak gąsior: n a p a ń s k i e!
...temu, kto się bez szemrania skłoni przed nakazem,
obiecuje dziedzic wolność od danin tym razem,
kto zaś się przeciwić waży woli grafa, ten tu
pachoł wmig nad nim różaniec zmówi z bystrych prętów,
komu zaś leszczynowego niedosyć pacierza —
i sto roków może w kaźni trykać łbem o dźwierza!...
Umilkł werbel. Tylko liptak warknął na obroży.
Pochyliło się nad pańskiem chłopskich grzbietów zboże.
Gwiżdże młody wietrzyk, szumnym jaworem kołysze, —
nawet z izby na wołanie Janosik nie wyszedł,
wraził ręce za pas, chmurą po obejściu chodzi:
ej, nie będzie na Orawie gazdom graf przewodził!
Chodzi Juro, — wej się zaciął, niczem topór w ścianie:
ej, nie będzie Tarchowianom trenciański pan panem!
O zachodzie po opłotkach jakiesi szeptali,
co już cała Ruś i wszystek Śpisz wokół się pali,
Merjadowi do Varina manifest przynieśli,
że ze trzy dni pewnie, będzie, jak Pawłowi — cieśli —
co Rakoczy precz spod Peštu w wiciach zapowiada
wolność gminom, byle tylko ruszyła gromada,
no i nawet, że już stoją u Dunaju chłopi...
Ino trochę, a cesarskim grabarz dół wykopie!

Chodzi Juro. Nadsłuchuje. Ówdzie mruknie słowo.
Zarygluje na mur wargi — i ścichnie nanowo.

Znad mokradeł noc się wznosi. Łysy w stawie usnął.
Ciszkiem ze wsi w ciemne tonie — w topiel cień wyplusnął,
uboczami, boczaniami niczem ślimak ślisko
za leśnicą wpełznął w czarną głusz — na uroczysko.
Drugi za nim. Mrok na ustach trawom palec trzyma
i w zaroślak stulonemi spogląda oczyma.
Niejednego tym chodnikiem sprowadziło zucha,
że i wraz się zbiegła kupa.
— Watra w lesie bucha —
i nie żarzy się w popiele takiem złotem iskra,
jaki ogień na tym kmiecym wiecu z ślepiów pryskał.
Jak chwycili się ów żar nieść, a watry zapalać,
w dwie niedziele poszedł rozruch po Dunaj od hal aż,
z Różomberku, Jabłonkowa, od Czaczy, z Podbańskiej
popłynęła wpoprzek fala znosić zamki pańskie.
Wstawał naród. Szły od pastwisk w baranicach nawierzch
nie wałaskie rosłe chłopy a niedźwiedzie prawie,
poruszyli się spod Śląska ludzie — dęby, buki,
osmalone ozorami wiatrów drzewne mruki,
leśne ludy nie do świeckich igrów, szczepy-chmury,
zato w udach jak konary, a w barach jak góry,
luptowiacy w tańcu ścigli, do kwarty nie gorsi,
a przed tymi orawianie do bitki najskorsi.
Wśród orawskich nazmyślejsi w zbójeckiem przemyśle —
tarchowiańscy śmigli chłopcy pierwsi w pole wyszli.
Idą zemstę brać na panach, a Janosik — wśród nich:
czerwonego kura na dach, burgrafa do studni!

Nad gościńcem w jarcu dziewka z kiecką w garści stoi,
westchnieniami ciepłych źrenic wypatruje swoich,
het w daleki lekki tuman wpija głodne oczy, —
mało wnętrze za tamtymi gardłem nie wyskoczy.
Zaszeleści liść, zaszemrze skrzydłem w trawie mucha, —
zaprze w piersi dech wysoko, dłoń przywrze do ucha.
Pod koszulą jęk jaskółczem pisklęciem się tłucze
za tym, co zaś jak obłapił, to haj! — za kuruczem!
Zgoni wzrokiem nieobeszły kraj jałowych pól i
padnie w bruździe, do tej skalnej gleby się przytuli,
do niescyrnej, nieużytej nic, do zimnej ziemi,
z gorącości, z utęsknienia, z ciągoty — za niemi.
Słucha: łyse wywietrzysko dziedzinom na dziwo
z grubej głębi gra stem basów, huczy pieśnią żywą,
wtórzy echem, kamiennemi niesie hen płucami:
EJ, PANOWIE, NIE BĘDZIECIE PRZEWODZIĆ NAD
(NAMI!...

Porwie się szalona z kolan gromem: oni! oni!
Za swoimi z szlochem — w krwawe żniwo dni — pogoni.

■

Ignacy Jetzis: Przyjaźń śpiewająca. Lwów, „Jung-Literat“, 1937; str. 33.

Przy czytaniu tych wierszy odnosi się nieodparte wrażenie, że stanowią one coś bardzo wtórnego i to nieumiejętnie robionego, a wywodzącego się z lektury takich poetów, jak: Tuwim, Bąk, Hertz. Z lwowskich „reprezentowani“ są Rogowski i Nacht. Co gorsza, w pewnych wierszach znajdują się okropne zniekształcenia językowe, pozwalające wątpić w znajomość form gramatycznpch. Takie kwiatki, np.: „Wyszedły żony na drogę“, albo: „Wicher powygiął konary“, wystarczają chyba, by całkowicie zdyskredytować omawiany tomik.

Władysław Jaworski

KSIĄŻKA O SŁOWACJI

L. W. Rochowanski: Columbus in der Slowakei. Eosverlag Bratislava. Bez daty; str. 596.

Słowacji, która zaczyna się tuż za południowo-zachodnią granicą Cieszyńskiego, a ciągnie się aż po Ruś Karpacką na wschodzie i po granice Węgier na południu, nie znamy prawie wcale. Toteż ten Kolumb, który nam ją odkrywa, staje się istnym objawicielem świata pełnego niespodziewanej egzotyki. Na książkę składa się wysoce ciekawy tekst i wspaniałe zaiste ilustracje: fotografje i rysunki, często przedziwnie subtelne.

Turysta, który z Czeskiego Cieszyna pędzi samochodem np. do Szczyrbskiego jeziora, widzi niezawodnie bardzo wiele, ale obok bogatego krajobrazu naturalnego jest tu jeszcze krajobraz kulturalny, pełen swoistego wdzięku i czaru. Bo o Słowacji nietylko że wiedzieliśmy mało, lecz byliśmy wobec niej na swój sposób uprzedzeni. Znaliśmy ją jako kraj zamieszkany przez lud ubogi, często bezradny wobec twardej woli dawnych władców węgierskich, emigrujący masowo za morze i żyjący w ciężkich warunkach z dnia na dzień. Toteż wobec wspaniałości przyrody karpackiej tego ludu w jego wioskach ubogich nie dostrzegało się prawie wcale. Gdy podczas wojny Rosjanie zabierali się do przekroczenia Karpat, to w komunikatach wojennych spotykało się np. nazwę miasta Eperies, ale któż domyślał się wtedy, że chodzi tu o słowackie miasto Bardyjów?

I nagle taka książka, jak kapitalne dzieło Rochowanskiego, staje się komentarzem tego wszystkiego, co się widziało wprawdzie, ale czego nie zdążyło się zrozumieć. Przedewszystkiem w krajobrazie kulturalnym widzimy człowieka z jego wiecznemi tęsknotami i pragnieniami, dla których całe tak zwane życie realne, gospodarcze i polityczne, jest tylko oprawą zewnętrzną czy marginesem życia istotnego. Ten człowiek czuje i myśli, opowiada i śpiewa, wierzy i buduje. Pokolenia mijają jedno po drugiem, a na budowlach wznoszonych ich rękami zaznaczają się formy ich odczuwania piękna i świata: leniwy ciężki łuk romański, chyża i śmigła wieżyca gotycka, uciecha motywu renesansowego, bogata fałdzistość baroku i wreszcie jasne albo szare sześciany współczesnej rzeczowości. Kontrasty mocno niepokojące, pełne dziwnego czaru, zmuszające turystę do głębokich zamyśleń o człowieku i jego dziele.

W książce Rochowanskiego, w jej bogatej szacie ilustracyjnej mamy skrót całych dziejów Słowacji od czasów przedhistorycznych aż po chwilę bieżącą. Obok prastarych rzeczy, odkopanych przez pietyzm uczonej współczesności, widzimy ładną dziewczynę w bogatym stroju ludowym, obok wspaniałych rękopisów zdobionych wzruszającemi maluneczkami, cudowne tuszowe rysunki zaułków miejskich i wiejskich chat, obok wyniosłych zamków magnackich i bogatych kościołów przedziwne nagrobki zdobione figuralnie radością, życiem, szczęściem widzenia i odczuwania.

Dużo miejsca zajmuje w tej książce to wszystko, czem człowiek w wiekach minionych żył tak wyłącznie, a mianowicie artystyczny element religijny: posągi świętych, obrazy, ornamentyka architektury kościelnej. Za pośrednictwem tych unaocznień szukał człowiek kontaktu z tajemnemi mocami zaświatowemi, od których oczekiwał jednak także pomocy w swoich sprawach ziemskich, w pracy, w walce, w miłości i nienawiści. W ciężkich warunkach geograficznych, politycznych i gospodarczych Słowak miewał aż nadto przyczyn do melancholji, ale jej nie uległ: lud słowacki kocha życie, jest wrażliwy na piękny strój, lubi śpiewać i tańczyć, głęboko ceni piękno legendy i baśni, któremi odszkodowuje się za swoją ciężką nieraz rzeczywistość.

Ale Słowacja wyciągnięta na długiej przestrzeni od Cieszyńskiego po Ruś Karpacką i od Karpat po dolinę Dunaju, nie jest jednolita. Już w czasach wojny trzydziestoletniej mawiano, że istnieje wspólnota ludów europejskich od Upsali po przełęcz Jabłonkowską. I rzeczywiście, za przełęczą Jabłonkowską zaczyna się już inny świat: czarnomorski. Rzeki płyną już na południe i wschód, im zaś dalej od przełęczy Jabłonkowskiej, tem egzotyczniejszy staje się krajobraz kulturalny i tem większe zróżnicowanie dostrzegamy w typie fizycznym człowieka, w jego sposobie bycia, w jego stroju. Panowanie węgierskie i wogóle współżycie dwóch tak różnych szczepów jak słowackiego i węgierskiego, nie mówiąc już o domieszce mniejszej lub większej elementu orjentalnego i niemieckiego, musiało wpłynąć tu na zróżnicowanie typu ludzkiego i jego kultury. U kobiet — na świetnych fotografjach tej książki — widujemy tu charakterystyczne dla rasy turko-fińskiej wysadziste kości policzkowe i zlekka skośne oczy, u mężczyzn twardość i stanowczość w spojrzeniu ciemnych i śmiałych, często zuchwałych oczu. Inny tu już typ, niż w północno-zachodniej Słowacji, gdzie widzi się tylu płowowłosych i niebieskookich wieśniaków, dziwnie skromnych i cichych jakichś.

Na kulturę Słowacji i jej krajobraz złożyło się bardzo wiele pierwiastków. Przyroda ma tu styl gigantycznego patosu, ludzie zaś bywali i są dotychczas różni. Magnat budował zamki i kościoły, rolnik i pasterz chaty i szałasy. Jeszcze tu nie Wschód, ale już jego wpływy się tu potrosze odczuwa czasem w ornamentyce przypominającej arabeski wschodnie, często w motywach zdobniczych stroju ludowego, w kolorowych malowidłach bogatej ceramiki, artystycznej i ludowej. Autor potrafił doskonale zebrać materjał i rozmieścił go ogromnie zręcznie w tej — powiedziałbym — werbującej książce. Istotnie, werbującej. Przy jej czytaniu i przeglądaniu robi się żal, że nie można bez krzyku i hałasu ruszyć na tę nie tak daleką Słowację, aby się napatrzeć i nacieszyć widokiem tego wszystkiego, co tworzy pogranicze dwóch światów: bałtyckiego i czarnomorskiego.

Przerzucając kartki tej książki, dziwnie inspirującej, myślę, że w taki właśnie sposób powinniśmy wydawać rzeczy podobne o Tatrach, o Krakowie, o Śląsku i Wilnie, przeplatając historję chwilą bieżącą, krajobraz naturalny krajobrazem kulturalnym, żywioł przyrody życiem człowieka. Tu jest kapitalna sposobność do wykazania, co było niegdyś, co zniszczyło obce panowanie i co odbudowały lata niepodległości. Tak właśnie jest w książce Rochowanskiego: Słowacja pod panowaniem węgierskiem, gdy ludowy element słowacki znika skromnie wobec magnackich strojów możnych panów węgierskich, i Słowacja dzisiejsza, która przeżywa swój ludowy renesans, odradzając się dla swej samodzielności kulturalnej i politycznej.

Książka Rochowanskiego ma piękną stylową okładkę płócienną i dwie zakładki o motywach ludowej sztuki słowackiej. Ciągle, uparcie wraca myśl, że takie książki polskie powinny ukazywać się u nas o różnych stronach Polski z bogatemi ilustracjami i z tekstami odrabiającemi zaległości zawarte w słusznym zarzucie: cudze chwalicie, swego nie znacie... Aby swoje znać, trzeba je dobrze rozumieć, a na to potrzebny jest dobry przewodnik, przygotowany do komentowania kultury kraju rodzinnego i naukowo i artystycznie.

Paweł Hulka-Laskowski



Stefan Żechowski: „Marsyljanka“
ilustracja do „Motorów“ Emila Zegadłowicza

NARÓD I PAŃSTWO

Olgierd Górka: Naród a państwo, jako zagadnienie Polski. Warszawa, „Bibljoteka Polska“, 1937.

Znany historyk prof. Olgierd Górka wystąpił w ostatniej swej książce z próbą rewizji utartych poglądów na istotę państwowości i skonstruował założenia nowej nauki o państwie, wyzwolonej z metafizycznych ogólników i opartej na realnych podstawach prawno-historycznych. Jeśli nawet po zapoznaniu się z teorją Górki okaże się, że autor nie wyprowadził ostatecznie tych konsekwencyj, jakie nasuwają się siłą rzeczy w odniesieniu do chwili obecnej i jeśli stosowanie poważnej koncepcji naukowej jako narzędzia egzegezy pism Piłsudskiego wzbudzi może przykre wrażenie czegoś sztucznego i naciąganego, to jednak sam fakt zainicjowania nowego, rzeczowego kierunku myślenia w naszych doktrynach politycznych należy uznać za nader pożyteczny i pozytywny.

Krytykując dotychczasowe teorje o państwie, Górka zaznacza słusznie, że wszelkie zbliżanie się do zagadnienia istoty państwa ze stanowiska idealistycznego jest błędne, „ponieważ absolutnie idealna forma państwa, dająca się zastosować we wszystkich wypadkach, nie istnieje i dlatego wymyślona być nie może“.

Trudno natomiast zgodzić się z autorem wtedy, gdy odrzuca socjologiczną metodę badań lub gdy zbywa pobieżnie materjalistyczne teorje państwa, przedewszystkiem marxowską i ludowo-socjalistyczną Mengera. Historykowi tej miary, co Górka nie godzi się stanowczo unikać dyskusji z teorjami socjalistycznemi tylko dlatego, że opierają się one na nieuznawanym przez niego materjalistycznem pojmowaniu dziejów.

Autor rozwiązuje problem z prawniczo-historycznego punktu widzenia, t. j. stara się o takie ujęcie istoty państwa, które opierałoby się na momencie własności i konstruuje następującą definicję: „Państwo jest koniecznem i przymusowem nadprzedsiębiorstwem wszech czasów i wszech stron, wykazującem różnych i zmiennych właścicieli. Powstaje ono względnie istnieje celem spełniania wobec przynależnych jednostek potrzeb ich egzystencji oraz zmiennych celów jego właścicieli. Źródłem władzy jest własność na danem państwie względnie zdobyte posiadanie“. Jak widzimy, ta teza zasadnicza bliższa jest w wielu momentach koncepcyj socjalistycznych niż reakcyjno-idealistycznych. Dominuje w niej wyraźnie element materjalistyczny („nadprzedsiębiorstwo“ i „potrzeby egzystencji“), a odznacza się zarazem djalektycznem ujmowaniem państwa przez wprowadzenie momentu zmiany.

Już Menger, wielki autorytet w dziedzinie nauki o państwie, wykazał trafnie całą nienaukowość idealistycznych koncepcyj państwowości (a więc teokratycznej, prawa naturalnego, manchesterskiej i organicznej), które nie odzwierciedlały faktycznego stanu rzeczy, będąc jedynie wyrazem interesów i pobożnych życzeń klas panujących. I Menger, podobnie jak obecnie Górka, w swem rozpatrywaniu właściwości organizmu państwowego przyjmuje prawniczy punkt widzenia, ale w przeciwieństwie do autora „Narodu i państwa“ czyni to poto, by udowodnić w rezultacie, że prawo prywatne demaskuje istotę państwa jako organizacji klasowej. „Cel działalności państwowej — pisze Menger — stanowią niemal wyłącznie interesy możnych, a zaś interesy słabszych tylko w bardzo nieznacznym stopniu“ (A. Menger: Nowa nauka o państwie, Warszawa 1906). W tym właśnie punkcie rozchodzą się drogi myślowe obu teoretyków i teorja Górki przekształca się nieoczekiwanie w idealistyczną.

Idealistyczna jest przedewszystkiem teza szczegółowa, stwierdzająca, że „naród polski jest rzeczywistym właścicielem całego państwa polskiego“. W tem ujęciu — wywodzi dalej Górka — organizacja państwowa Polski przypomina organizację nowoczesnego przedsiębiorstwa: „obywatele-właściciele“ państwa odpowiadają udziałowcom, prezydentowi republiki — prezes rady nadzorczej, wreszcie rządowi — dyrekcja przedsiębiorstwa.

Górka przyjmuje w zasadzie możliwość własności takiej czy innej grupy społecznej na państwie, ale w odniesieniu do Polski stwierdza, że właścicielem państwa jest wyłącznie naród. Darmobyśmy szukali w całej książce przyczyn, które każą autorowi właśnie w Polsce przenieść prawo „własności na państwie“ z jakiejś klasy czy grupy na cały naród lub na ogół obywateli. Osobliwy jest doprawdy sposób, w jaki Górka, powołując się na tezę Mengera, iż cele państw to cele ich władców, dochodzi do konkluzji, że idealne cele państwa polskiego nakreśla zbiorowa świadomość narodu jako dzierżyciela państwa.

Rzecz dziwna: autor, dostrzegając w dziejach fakty przesuwania się lub rozszerzania prawa „własności na państwie“ na coraz to inne grupy, lekceważy świadomie walkę tych grup czy klas w dobie obecnej. Ściślej mówiąc, uznaje w teraźniejszości (w odniesieniu do Polski) jedynie pewne przeciwieństwa interesów państwa i narodu jako jego właściciela i stając na stanowisku „nieodwracalności interesów“ przyznaje nadrzędność celom i potrzebom państwa.

Tak więc ujawnia się w rezultacie prawdziwe oblicze nauki o państwie jako nadprzedsiębiorstwie: przypomina ono żywo te wszystkie teorje, które nadawały państwu samoistną indywidualność, oddzielającą je przynajmniej w wielu wypadkach od jego obywateli i ich celów. Dzięki takiej koncepcji „można tej zmyślonej indywidualności państwowej przypisać cele górujących grup społecznych i w pewnem znaczeniu uczynić je celami ogółu“ (Menger, str. 144). Właściciele się zmieniają, ale „nadprzedsiębiorstwo“ pozostaje. Jego dobro i rozwój są celem najwyższym „właściciela“ czyli narodu.

Nie trzeba chyba rozwodzić się specjalnie nad tem, jak iluzoryczny jest w gruncie rzeczy ów tytuł własności narodu do państwa. Jest on tak samo wątpliwy jak tytuł własności akcjonarjuszy do danego przedsiębiorstwa, gdyż zarówno tu, jak i tam decyduje w najistotniejszych sprawach przewaga ekonomiczna.

Grupa ludzi, skupiająca w swych rękach większość akcyj przedsiębiorstwa, kieruje niem poprzez radę nadzorczą i dyrekcję. Posiadacze reszty akcyj odgrywają rolę raczej bierną, przypominającą sytuację owego Żyda z anegdoty, który mając jedną akcję wielkiego przedsiębiorstwa uważał się za współwłaściciela. Teoretycznie nim był, ale kiedy w praktyce chciał skorzystać z tego tytułu własności, został wyrzucony za drzwi przez pana dyrektora. „Własność narodu na państwie“ jest jedynie uogólnieniem historjozoficznem tego faktu, że na przestrzeni wieków coraz to inne grupy czy klasy narodu są dzierżycielami władzy państwowej, czyli, używając terminologji Górki, są właścicielami państwa: w okresie od X do XII stulecia — książęta, od XII do XV — książę i oligarchja, następnie do rozbiorów magnaterja przy pozornej współwładzy gminu szlacheckiego, a wreszcie w wieku XX — burżuazja i wielcy obszarnicy.

Szczupłość miejsca nie pozwala nam, niestety, omówić tu choćby tylko pobieżnie szeregu słusznych i mądrych poglądów Górki na aktualne kwestje polityczne, jak totalizm, ideologja skrajnego nacjonalizmu, zagadnienie ukraińskie, żydowskie itd. Stosując teorję swą do praktyki politycznej, autor dochodzi w wielu wypadkach do trafnych wniosków, które jednak — powiedzmy to szczerze — nasuwać się muszą każdemu bezstronnemu badaczowi, nawet bez uciekania się do nauki o państwie jako nadprzedsiębiorstwie.

Stefan Frank

WIERSZE

Włodzimierz Pietrzak: Prawo drapieżne. Warszawa, J. Mortkowicz, 1936; str. 32.

Pietrzak jest poetą, którego twórczość da się określić ogólnie jako konstrukcjonizm o walorach czysto formalnych. W utworach objętych „Prawem drapieżnem“ z trudem zaledwie można się dopatrzeć opisu jakichś przeżyć, czegoś, co wyznacza t. zw. „treść“. Wydaje się, jakoby na spodzie tych wierszy była zupełna pustka. Ten brak substratu wzruszeniowego u Pietrzaka znajduje pewną rekompensatę w wysoko postawionem opanowaniu techniki poetyckiej, pozwalającej autorowi zdobyć się na własny wyraz artystyczny w dziedzinie formy. Jednak i pod tym względem można zauważyć, że Pietrzak silnie jest zapatrzony w wielką poezję Przybosia, co uwydatnia się w dość częstem wzorowaniu się na nim oraz stosowaniu jego chwytów. Mimo to autor dzięki niewątpliwej kulturze poetyckiej umie podać czytelnikowi obrazy, noszące piętno dużej urody („Bez dedykacji“) i wskazujące na możliwości całkowitej autonomji twórczej. Chłód, jakim przesycone jest „Prawo drapieżne“, wynikający z intelektualistycznego nastawienia Pietrzaka, sprawia, że tom ten nie wykracza poza ramy wielkiej poprawności.

Władysław Jaworski

PRZEGLĄD PRASY

Dembiński, Jędrychowski i Żeromska w więzieniu

Od początku czerwca b. r. w wileńskiem więzieniu na Łukiszkach przebywa troje pisarzy: Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski i Marja Żeromska. Wszyscy są bardzo młodzi, mimo to dali się już poznać jako wybitni pisarze i uczeni. Znani są i cenieni w całej Polsce. Szczególnie głośne jest nazwisko Dembińskiego, zaliczanego do najwybitniejszych pisarzy młodszego pokolenia.

Prasa bez względu na kierunek polityczny domaga się uwolnienia tych trojga młodych, niezwykle utalentowanych ludzi. Szczególnie energiczną akcję prowadzą: „Robotnik“, wileński „Kurjer Powszechny“, „Dziennik Ludowy“, „Dziennik Poranny“, a pozatem „Epoka“, prorządowy „Kurjer Wileński“, a nawet konserwatywna, mocarstwowa i katolicka „Polityka“. Front obrońców Dembińskiego i jego towarzyszy ciągnie się od socjalistów, poprzez lewicę sanacyjną aż do katolików i konserwatystów. Według „Polityki“ Dembiński był jedyny, który mógł katolicyzm polski „wyprowadzić na szerokie wody twórczego czynu“. Słusznie też „Wiadomości Literackie“ (nr. 721), które również zabrały głos w tej sprawie, piszą: „Człowiek, uważany przez mocarstwowca polskiego za **jedynego**, który może stanąć na czele ruchu katolickiego, nie jest napewno wrogiem państwa i wywrotowcem“.

W sanacyjnym, prorządowym „Kurjerze Wileńskim“ z dnia 24 lipca b. r. Anatol Mikułko pisze, że Dembiński był przedewszystkiem artystą, pisarzem. „Henryk Dembiński nie był ani razu karany, ani oskarżony. Obecnie siedzi w więzieniu po raz pierwszy. Jest chory... Po Wilnie błąka się z kąta w kąt żona uwięzionego, młoda, a już zupełnie osiwiała. Przyczyny aresztowania Dembińskiego i szczegóły śledztwa trzymane są w tajemnicy. Czyżby popełnił on jakieś przestępstwo polityczne? Czyżby chciał i mógł? Poprostu nie dowiary. Niechże o tem prędzej raz wreszcie będzie wiadomo“.

„Robotnik“ z dnia 11 sierpnia ustala trzy fakty: „1) Henryk Dembiński pozostaje w więzieniu od szeregu tygodni; o co chodzi, nikt koniec końców nie wie; 2) Henryk Dembiński jest... chory i został przeniesiony do szpitala więziennego; 3) Henryk Dembiński jest znanym literatem i pisarzem; mimo to milczą „uroczyście“ stowarzyszenia literatów i pisarzy, chociaż wzywaliśmy je, by zechciały zabrać głos“.

Gorąco przemawia w obronie Dembińskiego działacz niepodległościowy, legjonista T. Jacek - Rolicki w „Kurjerze Powszechnym“ z dnia 6 sierpnia (w art. „Sprawa Dembińskiego sprawą całej demokracji polskiej“). Rolicki pisze, że Dembiński jest członkiem Polskiej Partji Socjalistycznej. „Sprawa Dembińskiego jest sprawą całej demokracji polskiej i w tej płaszczyźnie należy ją traktować, tem więcej, że obecny więzień łukiski jest już członkiem wielkiej politycznej, zasłużonej dla sprawy polskiej, organizacji“.

„Dziennik Ludowy“ stwierdza: „Aresztowani stanowią elitę młodego pokolenia pisarzy i publicystów wileńskich — elitę nietylko intelektualną, ale i charakterową. Nie mamy nadmiaru takich talentów i nie powinno się dopuścić, aby marnowały się w znanych warunkach więziennych — tem bardziej, że Dembiński jest człowiekiem chorym, a więzienie może znacznie pogorszyć stan jego zdrowia“. „Epoka“ (nr. 15) pisze: „Zdawałoby się, że wartości duchowe, wyrażające się w tych młodych talentach i w tych młodych czujących duszach powinny w odrodzonej ojczyźnie być nie marnowane w więzieniach, ale pielęgnowane i otaczane opieką“.

Czy wojna jest koniecznością?

Jeśli jeszcze kilka lat temu pacyfizm wszelkiego rodzaju był modny, dziś jest inaczej: występowanie przeciw wojnie uważa się za słabość, propagandę rozkładową, miazmaty, a nawet za zdradę państwa. Kult wojny wprowadzili nawet ci ludzie, którzy przy innych okazjach głoszą hasło miłości bliźniego. Pisma, uważające się za katolickie („Głos Narodu“, „Prosto z mostu“, „Polityka“, „Przegląd Powszechny“ itd.), jawnie uznają potrzebę wojny imperjalistycznej, zaborczej, stawiają za przykład nawet innowierców (Japończyków). aby udowodnić, jak szlachetnem i wzniosłem zajęciem jest masowe mordowanie niewinnych bliźnich. I niewiadomo, co bardziej w takich razach podziwiać — cynizm, głupotę czy zaślepienie. Wszelkie argumenty nie trafiają do przekonania, gdyż uważane są za „podejrzane“. Warto zatem przytoczyć wypowiedź na temat wojny znakomitego uczonego o światowej sławie, etnologa, Polaka, pracującego od wielu lat w uniwersytecie angielskim, Bronisława Malinowskiego. Jego przemówienie o wojnie z punktu widzenia etnologa zostało przełożone w ostatnim zeszycie „**Marchołta**“ (nr. 4), piśmie, wydawanem przez Instytut Literacki z Funduszu Kultury Narodowej. Źródło zatem niepodejrzane o defetyzm, propagandę rozkładową itd., korzysta bowiem z pieniędzy państwowych.

Prof. Malinowski odpowiada na trzy pytania: 1. Czy wojna jest biologiczną koniecznością? 2. Czy wojna ma konstruktywną i kulturalną wartość? 3. Czy wojna była zawsze skutecznym instrumentem polityki plemiennej, gospodarczej i państwowej? Czy i nadal jest ona skutecznym środkiem do osiągnięcia wielkości narodowej? Na wszystkie trzy pytania Malinowski odpowiada: nie.

„Moralista, historyk lub publicysta, który na podstawie danych etnograficznych, dostarczonych przez najniższe ludy pierwotne, chciałby obwieścić wojnę za konieczność biologiczną, z miejsca wystawia swoje dowodzenie na śmieszność. A trzeba pamiętać, że jeśliby wojna wynikała z biologicznej natury człowieka, gdyby była rzeczywiście związana z wojowniczością człowieka, ten związek musiałby być najjaśniejszy w najwcześniejszych stadjach rozwoju. Nasze negatywne świadectwo jest zatem rozstrzygające“.

„...wojna — w większości jej przejawów — była i jest bardziej chorobą kulturalną częstokroć obcego importu, aniżeli zdrową instytucją rodzimego pochodzenia...“. „Zaznaczyłem już, jak niesłuszne jest twierdzenie, że sztukę rządzenia i polityczną organizację zawdzięcza się wojnie“.

„Wracając do wojen dzisiejszych i jutrzejszych, czy możemy powiedzieć, że dzisiaj człowiek człowiekowi przeciwstawia swoją siłę, zręczność, odwagę lub wytrwałość? Z pewnością nie! Wojna stała się próbą sił między maszynami, przemysłowemi imprezami i finansową organizacją. Bohater przyszłej wojny, człowiek, który zapomocą gazu trującego niszczy z samolotu spokojnie uśpione miasto, nie wyraża żadnej biologicznej cechy swego organizmu, ani nie ukazuje jakichkolwiek cnót moralnych. W szczególny sposób ubiega się o pierwszeństwo z poławiaczem głów, napadającym znienacka uśpioną wioskę spokojnych sąsiadów i mordującym ich okrutnie, masowo i bez osobistych uczuć. Innemi słowy twierdzę, że mówić o cnotach wojskowych we współczesnej wojnie jest zwykłym fałszem. Mechaniczny i masowy mord z bezpiecznego miejsca nieznanych, niewinnych ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci — nie może rozwinąć odwagi w zabójcy. To jest akt premedytowanej tchórzliwej zbrodni na gigantyczną skalę. Mądrość nie jest w akcie wojny, lecz w wynalazkach naukowych, które umożliwiły to zbiorowe morderstwo, choć nie mogą one zawierać ze strony naukowca moralnego przyzwolenia na tę zbrodniczą czynność. Prócz tego przyszła wojna nie będzie prowadzona przez bohaterskich ochotników, lecz przez ludzi rekrutowanych, to znaczy zmuszonych siłą, by byli zabójcami, lub najętych do tego celu“.

„Pod względem zaś socjologicznym, znowu, gotowość do wojny — zamiast być funkcjonalnie korzystna — jest tylko niszczycielska. Wychowanie w faszystowskich Włoszech lub hitlerowskich Niemczech pokazuje, co wywołać może całkowita militaryzacja społeczeństwa. W szkołach niemieckich i włoskich niewiele czasu pozostaje na naukę lub rozwój moralny. Z dzieci robi się dobrych patrjotów — to znaczy materjał, nadający się na mięso armatnie. Co się tyczy finansów i organizacji przemysłowej, oczekiwanie przyszłej wojny, w którem żyjemy, wprowadza stałe źródło zahamowań i tarć. Ekonomiczne motywy w handlu, przemyśle i finansach działają obecnie nieuchronnie ku umiędzynarodowieniu. Polityczne motywy gotowości do następnej wojny pchają każde państwo do ściśle samowystarczalnej polityki narodowej. Sądzę, że więcej niż połowa istotnych przyczyn bezrobocia, dezorganizacji i ubóstwa narodowego może być przypisana temu konfliktowi. Wierzę także, że świat, zorganizowany lub raczej zdezorganizowany dla przyszłej wojny, zmierza nieuchronnie ku gospodarczej katastrofie“.

„Osiągnęliśmy ten okres rozwoju, gdy wojna przestała już być więcej siłą twórczą kulturalnie. Przestała być także narzędziem skutecznej polityki narodowo-państwowej. Mój przemyślany pogląd, jako badacza ludzkiej kultury, jest, że jedyną alternatywą dla nas jest albo usunąć wojnę i zorganizować się dla pokoju, albo zginąć. Cynik mógłby powiedzieć, że żaden argument nie utoruje sobie drogi poprzez dzisiejsze nasze nieuctwo polityczne i naszą nieuczciwość intelektualną. Mógłby twierdzić, że bezużyteczne jest gromadzić dowody co do całkowicie niszczycielskiego charakteru wszelkich wojennych przygotowań i wojen przyszłości. Osobiście wierzę, że jasne zdanie sobie sprawy z faktów musi w każdym narodzie i poprzez wszystkie granice państwowe stworzyć prędzej lub później tę silną i jednolitą narodową wolę pokoju, która jest jedyną potęgą, zdolną ocalić nas. Etnolog, wspólnie z historykiem i badaczem prawa międzynarodowego musi do powstania tej woli przyczynić się swoim udziałem.

Starałem się wykazać wam, że wojna nie jest i nigdy nie było koniecznościa biologiczną; że kulturalna wartość wojny nie jest powszechna. lecz ograniczona do ściśle określonej epoki w rozwoju ludzkości; że współcześnie wojna stała się tylko niszczycielskim i demoralizującym, najokrutniejszym i najbardziej zwierzęcym wyrazem przewagi maszyny nad człowiekiem. Jeśli mi się to udało, wywiązałem się z postawionego sobie zadania“.

„Kultura“ o Żydach

Od dłuższego już czasu wychodzi w Poznaniu tygodnik literacki, artystyczny i społeczny „Kultura“. Redaktorem jest ks. Stanisław Bross. Pismo jest organem katolickim, jest jednem z licznych wydawnictw Akcji Katolickiej. Pozostaje pod patronatem prymasa Polski, kardynała Hlonda, który w niem często głos zabiera. „Kultura“ ma bardzo wzniosły cel: chce być ideowym, literackim i kulturalnym organem katolickiej inteligencji polskiej. Wszyscy, którzy jesteśmy przyzwyczajeni do bardzo niskiego naogół poziomu pism katolickich, przeznaczonych dla inteligencji, powitaliśmy taką inicjatywe z uznaniem. W „Kulturze“ znaleźć też można czasem artykuły interesujące i ciekawe, wnoszące trochę jasnego światła w zatechła atmosferę katolicyzmu polskiego i stwarzające nadzieję, że to, co jest w nim teraz złe, napewno się zmieni na lepsze. Czytaliśmy niektóre artykuły Myczki, Januszkiewicza, witaliśmy szereg przekładów z pism wielkich francuskich pisarzy katolickich — Maritaina, Mauriac'a... Wprawdzie obok nich znajdowaliśmy rzeczy oburzające, ale myśleliśmy, że to pomyłka, że to błędy przypadku, a nie złej woli. Niestety, to co uważaliśmy za przypadek, stało się od dłuższego czasu zasadą i regułą. „Kultura“ zaczęła zazdrościć laurów „Orędownikowi“ i „Samoobronie“. Tamte pisemka mają powodzenie, są czytane, mają swoich wyznawców. „Kultura“ zapewne ze względu na swój charakter nie ma aż tak wielkiego powodzenia i uznania. I dlatego chyba — bo innych motywów nie chcemy się doszukiwać — „Kultura“ zaczęła zamieszczać artykuły Jerzego Bandrowskiego o „Kwestji żydowskiej w Polsce“.

Nie mamy o to pretensyj do Jerzego Bandrowskiego. To, że godzi on w dziwny i dla normalnego człowieka niezrozumiały sposób naukę Chrystusa z pogromowym antysemityzmem, miłość bliźniego z bojową nienawiścią, pokorę chrześcijańską z chęcią zniszczenia niewinnych ludzi — to sprawa jego sumienia. Nie chcemy tego rozpatrywać: być może, Jerzy Bandrowski jest człowiekiem nienormalnym, choruje na manję prześladowczą, jest psychopatą, którego należy leczyć, troskliwie i pieczołowicie, albo co gorsza — jest cynikiem, który dla interesu wyznaje głośno, że jest wyznawcą Chrystusa: to nas nie obchodzi. Jak Jerzy Bandrowski postępuje, żyje, myśli — to jego prywatna sprawa. Jerzy Bandrowski mógłby w imię nauki Chrystusa mordować każdego napotkanego Żyda — nie zajmowalibyśmy się tym faktem. Co najwyżej stwierdzilibyśmy, że pisarz polski i katolicki zajmuje się procederem, za który w normalnem państwie i w normalnych warunkach jest się skazywanym na śmierć lub dożywotnie więzienie. Jerzy Bandrowski nikogo dotąd nawet nie zranił. Ten pisarz polski i katolicki robi coś znacznie gorszego.

O to jednak — powtarzamy — nie mamy pretensyj do niego, ale do redakcji „Kultury“, która wydrukowała szereg jego niesłychanych, oburzających artykułów. Ukazały się one w nr.: 27, 28, 33, 34 i 35 „Kultury“. Ciąg dalszy jest zapowiedziany.

Przytoczymy parę krótszych fragmentów, wywody Bandrowskiego są bowiem bardzo obszerne:

„Sprawa żydowska przedstawia się w całej Polsce wprost niesamowicie ponuro. Ale nigdzie może nie bije w oczy tak, jak we Lwowie... W Łodzi wre walka, a gdzie raz z polskiej strony walkę z Żydami podjęto, tam prędzej czy później musi się ona skończyć zwycięstwem... I wiedział Pan Bóg, co zrobił! Bo z tym narodem nikt wytrzymać nie może, prędzej czy później każdy naród, udzieliwszy mu gościny, w sposób przeważnie bezwzględny pozbywa się go, a który nie miał dość sił, aby to uczynić, chorzeje, słabnie, aż wreszcie gwałtownemi miotany konwulsjami, krwawo się pocąc (?), wyrzuca z siebie jad żydowski i dopiero wtedy, opamiętawszy się, spostrzega, iż bliski był śmierci i zupełnego zatrucia. A Żydzi nazywają to uciskiem i prześladowaniem...“.

„A ja, były oficer „białych“ na Syberji, nacjonalista-katolik, też mam mieć ufność do tego Żyda, od którego na milę jedzie (?) komunizmem?... ...„Wdepnąłem“ do wagonu, zapełnionego galicyjskimi Żydami, pasja mnie ogarniała, wstręt i pasja, granicząca z rozpaczą. Stawałem się w tej chwili niegrzeczny, ordynarny, agresywny, choć mi ci ludzie nic złego nie zrobili, przeciwnie, zachowywali się spokojnie, bywali czasem uprzejmi. Ale ja nie mogłem, nie mogłem, nie mogłem! — ...Cóż to za okropność znaleźć się po długich latach z powrotem w żydowskim otoczeniu“.

I na zakończenie:

„My, chrześcijanie, a zwłaszcza katolicy nie niecierpliwimy się. Pracujemy — naogół pewnie. Wychodzimy z Ewangelji — i w myśl nakazu Chrystusa dążymy do sprawiedliwości, t. j. do Królestwa Bożego na ziemi. Nie jest to łatwe, ale walka z trudnościami nie zniechęca nas“.

*

Czytamy to i przecieramy oczy. To jeszcze nie wszystko. Należałoby przytoczyć te wszystkie „Rozmowy z Żydami“, aby okazało się, ile kryje się w nich manjactwa, cynizmu, obłudy, nienawiści, pogardy!

I to w piśmie, które głosi szlachetne hasła miłości, prawdy i dobra, w piśmie, które uchodzi za najważniejsze wśród polskich pism katolickich, które ma za sobą najwyższe autorytety kościelne!

Trzeba naprawdę upaść bardzo nisko moralnie, nie mieć najprostszych ludzkich skrupułów, nie mieć odrobiny sumienia, aby ponosić odpowiedzialność za słowa człowieka opętanego jedną manją. Bo to jest odpowiedzialność nietylko za te słowa, ale przedewszystkiem za to, ile zło one wytworzą, za to, że będą doskonałem uzasadnieniem bandytyzmu, który się szerzy w zastraszającem tempie, za to, że sieją nienawiść do bliźniego w tysiącach i miljonach ludzi.

A odpowiedzialność ta spada nietylko na jednego czy kilku ludzi, ale na tych wszystkich, którzy ich wspierają, na całą instytucję, której są wybitnymi przedstawicielami.

K. K.

KORESPONDENCJA

WYJAŚNIENIE

Do redaktora „Sygnałów“

Żałuję, że mój artykuł „Istota rewolucji niemieckiej“ („Sygnały“, nr. 31), został tak źle zrozumiany i przedstawiony przez Hermana Sternbacha („O t. zw. rewolucji niemieckiej“, „Sygnały“ nr. 32), i Stefana Franka („Rewolucja w cudzysłowie“, „Sygnały“, nr. 32). Nie chcąc zabierać miejsca na obszerną odpowiedź, stwierdzam, że:

1) nie twierdziłem, iż forma hitleryzmu utrzyma się zawsze i nigdy nie minie;
2) nie twierdziłem, że uniwersalizm został gdziekolwiek i kiedykolwiek zrealizowany; mówiłem jedynie o dążeniach ludzkości w tym kierunku;
3) o masowości ruchów niemieckich i ich ludowości poucza mnie nie propaganda niemiecka, ale historja;
4) separatyzm niemiecki jest zjawiskiem tak bijącem w oczy na przestrzeni dziejów, że proste zaprzeczenie nic tu zmienić nie może.

Paweł Hulka-Laskowski

*

A. Śl. R. Warszawa. Opowiadania „Skarby Artura Erdmana“ i „Maszyna“ nie będą umieszczone.

L. G. Lublin. „Protestu“ nie będziemy drukowali. Dziękujemy za miłe słowa i zasyłamy pozdrowienia.

Stefan M. Lwów. Kryptonimów nie uznajemy.

Manfred. Kraków Nie umieścimy. W sprawie Dembińskiego, Jędrychowskiego i Żeromskiej piszemy osobno.

A. M. M. Warszawa. „Bajka“ nie będzie drukowana. Zasyłamy pozdrowienia.

E. F. Tłumacz. Wiersz nie będzie drukowany.

Tow. Zen. Łódź. Feniks Cz. Wiersze nie będą umieszczone.

Jerzy Dol. Warszawa. Artykuł będzie prawdopodobnie drukowany w najbliższym numerze.

Z. D. Wągrowiec. Artykuł nie będzie drukowany. Rękopis zwrócimy po nadesłaniu znaczków.

M. G. Przemyśl. Artykuł nie będzie drukowany. Na ten temat mamy już wcześniej zamówiony. Zasyłamy pozdrowienia.

POEMAT NARODOWY

I

Kiedy już państwo żydowskie powstanie
i żydki zaczną masowy exodus,
skończy się bieda, skończy narzekanie
i wielka nędza polskiego narodu.

Ach, jak tę radość najgłębszą wypowiem,
jak raj opiszę na ojczystej niwie,
kiedy ostatni paskudny żydowin
do Palestyny pojedzie szczęśliwie.

Zrobi się trochę przestronniej i jasno,
żydowski odór zniknie jak kamfora
i wyzwolona stara ziemia Piastów
zapomni rychło o haniebnem wczoraj.

I tylko matki swe niegrzeczne dzieci
będą straszyły czasem socjalizmem,
co bunt i pożar w sercach naszych niecił,
gdy żyd plugawy zatruwał ojczyznę.

Wszystko to tylko zostanie w legendzie,
i głód i nędza, bezdomność, brak pracy, —
odtąd już Polsce lepiej, lepiej będzie,
o odżydzeni cudownie rodacy.

Lecz w tej ogółu radosnej ekstazie,
w tem wyzwolenia uroczystem święcie
jakiż dysonans ucho nasze razi,
kogóż kraj z Żydów oczyszczon nie nęci?

Kimż są te blade, posępne postaci,
o łzawem oku i smętnem obliczu?
Każdy z nich wzdycha, jakgdyby utracił
coś najdroższego. Wzdychają i milczą.

I tylko czasem późną nocną porą,
kiedy są sami, gdy ich nikt nie widzi,
nucą pocichu jakiś dziwny chorał:
„Ach, wróćcie do nas! Wróćcie, drodzy Żydzi!".

„Czekają na was pałki i kastety,
co teraz, drodzy, w bezczynności gniją,
petardy lube (już teraz niestety)
żadnych szyb w sklepach niczyich nie biją.

Czekają na was żyletki (rdzewieją)
i nasze tęgie, wyćwiczone pięści".
Takie śpiewają dalekim Jewrejom
piosenki smutne pałkarze nieszczęśni.

II

Kiedy już państwo żydowskie powstanie,
zaczną się dzieje komiczno-ponure.
Świat wtedy ujrzy żydowską tyranję —
Führer ogłosi Żydo-dyktaturę.

Führer żydowski o geście Cezara
zacznie gorliwie zbawianie Erecu,
stare sposoby i metoda stara
uczniowi swemu przykładem przyświecą.

Więc na Arabów swe hufce poszczuje,
by z wrogich mętów Judeę oczyścić,
pójdą do boju krzywonose szuje,
straszni, komiczni, żydowscy faszyści.

I rzeź się zacznie i pogrom straszliwy,
we krwi się skąpią Judejczyków łapska,
i palić będą arabskie sadyby
i płynąć będzie podła krew arabska.

A na wszechnicach — co za cudny widok!
Jak przed hufcami żydowskich pałkarzy,
przed zastępami bohaterskich Żydów
ucieka Arab tchórzliwy a wraży.

Kastety w ruchu, pałki wprawnie grzmocą
arabskie głowy hurtownie i prędko.
Ach, co za widok! Z zachwytu dygocą
serca piersistym żydowskim studentkom.

Lecz mimo tego świętego zapału
i mimo dzielnych korporantów tłumu,
Żydów jest jednak wciąż jeszcze zamało,
by wreszcie skończyć z Arabo-komuną.

Chociaż pracują i we dnie i nocą
i oczyszczają ojczyznę bez przerwy,
chociaż się trudzą i biedzą i pocą,
nie dadzą rady arabskiemu ścierwu.

Więc Führer wielki po długim namyśle
do bezrobotnej endeckiej młodzieży
błagalne listy o ratunek wyśle,
do serc przemówi, w sentyment uderzy.

„Komilitony drogie, towarzysze!
Mam dla was piękne, radosne zajęcie.
Że bezrobotni jesteście, jak słyszę —
przypłyńcie do mnie na chyżym okręcie,

by razem z nami pospołu w harmonji
podjąć zaszczytną walkę narodową.
Sczezną nazawsze arabscy masoni
przed naszych pięści potężną wymową.

Gdy w proch ich zetrzem, gdy precz ich wyżeniem,
gdy im mordownię urządzimy gracką,
obejmie władzę nad ludzkiem plemieniem
nasze zwycięskie Endeko-Żydlactwo!".

STEFAN FRANK



Korespondent wojenny rys. E. Lipiński

WSPOMNIENIE O WILHELMIE WĄTORKU

(trawestacja z Heinego)

Gdyś z kotem na spacer szedł rzeźki i młody,
zachwiała się kładka i wpadłeś do wody,
ale kot, ale kot nie utonął!

Jak chwiejna jest kładka — tak chwiejne jest życie,
Wilhelmie Wątorku, zginąłeś w niebycie,
ale kot, ale kot nie utonął!

Twe ciało rybacy z rzeki wyłowili,
a myśmy rzucali nań róże i lilje,
ale kot, ale kot nie utonął!

A blady poeta rzucił ci kilka strof,
tyś wcześnie uniknął życiowych katastrof,
ale kot, ale kot nie utonął!

I odtąd na brzegu, gdy ludzie tam trafią,
widnieje na grobie twoim epitafjum:
— ALE KOT, ALE KOT NIE UTONĄŁ!

I w boju o sławę, czy przegram, czy wygram,
utonie napewno ten wdzięczny epigram:
— Ale kot, ale kot nie utonął!

JERZY KAMIL WEINTRAUB



Chiński mur rys. L. Blankenheim

GORZKIE DUMANIA

A w tej nocnej ciszy dłubię sobie w nosie,
szumi górski potok, śpiewa nocny wiatr,
i tak jakoś dziwnie i tak robi mdło się
i tak jakoś więdnie „uczuć moich kwiat".

Niedawno do szkółki chodził Tadzio mały,
nie znał Grydzewskiego, nie wiedział co Gide,
dziś go się trzymają żydowskie kawały,
zżydział Tadzio zżydział, sam prawie jak żyd.

Mogłeś zostać, Tadziu, uczciwym człowiekiem,
endekiem, jak wszyscy w twej rodzinie są,
a tak jakbyś prawie był bandytą z czeki,
której zresztą sprzedać chcesz ojczyznę swą.

Co też z tobą pocznie Polska Narrrodowa,
której krew serdeczną wytaczałeś z żył,
żebyś miast pisania sportem się zajmował,
Walasiewiczówną może byłbyś był.

A tak czem się czujesz? Zdrajcą i miazmatem,
wprost kosmopolitą, wstydź się, Tadziu, wstydź,
zasmucasz rodzinę, ojczyznę i tatę,
naprawdę kim innym mogłeś śmiało być.

Mogłeś więc naprzykład skończyć uniwerek
i być w Mszanie Dolnej adwokatem, lub
lub zgoła doktorem, a tak jesteś — zerem,
gubiąc się w dodatku... Gub się, Tadziu, gub...

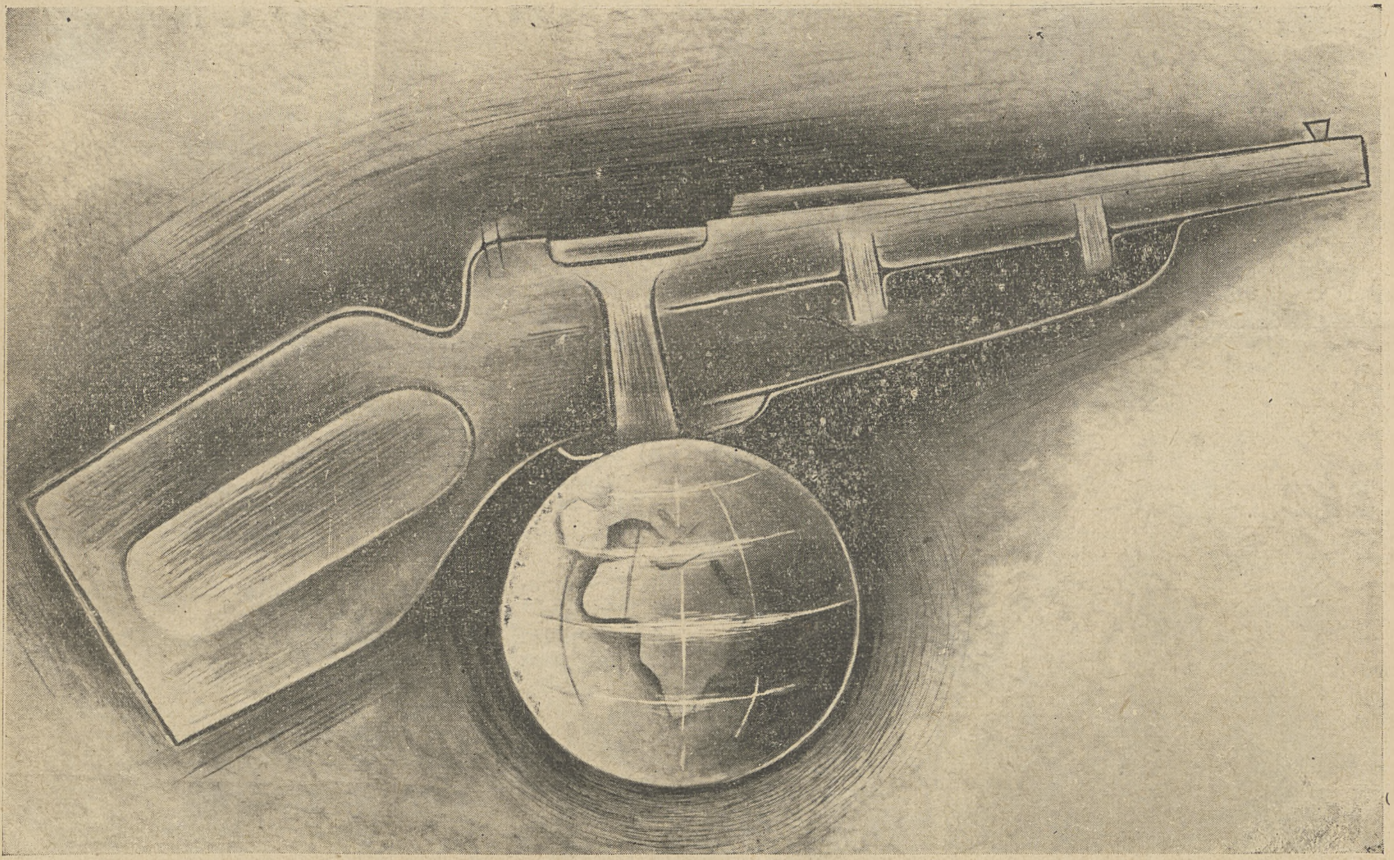
Trzeba ci to było czytać „Wiadomości",
cieszyć się, gdy księży postponował Boy...
— Popatrz, Boy ma nawet tej zabawy dość — i
przycichł, a ty ciągle jesteś szabesgoj.

Bo czem jesteś? — pluskwą, szczypawką, moskitem,
którego powali narrrodowy grrrom,
bo kalasz i świętość i siłę tej Rzplitej,
czerw u jej korzeni i złośliwy gnom.

Jak lawina rrrosną narrrodowe hufce,
na rrrubieżach gędzi pralechicki chram,
a ty nadobitek kochasz się w żydówce,
nie - żyd i nie - Polak w nosie dłubiesz sam.

Mógłbyś jeszcze, mógłbyś... Zamiast dłubać w nosie...
— Tak wiatr z Tatr i z Gdyni pędzi, gędzi, dmie...
I tak jakoś dziwnie i tak robi mdło się,
tak po prapopolsku...
— że wciąż wolę nie.

TADEUSZ HOLLENDER



Ziemia rys. K. Baraniecki

KARJEROWICZOM

Znam paru panów z lewych frakcyj,
co są dlatego w socjalizmie,
by drożej sprzedać się reakcji
i służyć nibyto ojczyźnie.
A sposobności jest jak w bajce
i szujów nie brak, no a więc
targują się panowie zdrajcy
o każdą kość, o każdy kęs.
Wszystkiego wówczas im zamało —
ile zapłacisz, ile dasz.
W mordęby napluć należało,
a szkoda pluć takiemu w twarz.

PASZPORT DO FRANCJI?

Możesz się nurzać w Bułgarji, Dalmacji,
dowoli jeździć do Czarnogóry,
lecz by się dostać do Cywilizacji —
musisz mieć silne kły i pazury.

LEON PASTERNAK

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 4
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 18—19
PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2.60 zł., kwartalna 1.40 zł.
Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.